

NOWA BIESIADA

WIEDZA I ŻYCIE

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU

NAUKOWO-LITERACKIEGO WE LWOWIE

Serya IV. — Tom IV.



LWÓW

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WARSZAWA 22 E. WENDE I SPÓŁKA

G. LOWES DICKINSON



NOWA BIESIADA

A MODERN SYMPOSIUM

3577

☉ Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ ☉

EDMUND S. NAGANOWSKI

Life like a dome of many coloured glass
Stains the white radiance of Eternity.



LWÓW

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WARSZAWA ☉ E. WENDE I SPÓŁKA

<http://rcin.org.pl/ifis>



35772

K.
8. 1. 68
A. 3/68
ms.

PRZEDMOWA.

Książka, którą podajemy dziś w przekładzie polskiemu czytelnikowi, znalazła w świecie anglosaskim niezwykle uznanie. Zawdzięcza je zarówno swym zewnętrznym jak i formalnym zaletom.

Dobrowolne grono mężczyzn, ludzi różnych przekonań i zawodów, zbiera się w sobotnie wieczory u jednego z pomiędzy siebie, aby po wspólnym obiedzie przepędzić czas na swobodnej dyskusyi, zagajonej jakimś referatem. Tego jednakże wieczora, o którym opowiada nasza książka, wyznaczony referent zrobił zawód; na propozycję gospodarza zgodzono się tedy mówić na zaimprovizowany temat: — każdy z obecnych miał się wypowiedzieć ze swoich przekonań politycznych i społecznych. Mówią tedy najprzód zawodowi politycy różnych obozów, a potem wypowiadają się uczeni, poeci, laicy różnych temperamentów i wyobrażeń. Wszyscy mówią dobrze; widzimy wyraźnie rysy charakterystyczne każdego z nich, a grono mow-

ców tak jest przez autora złożone, że niebrakuje chyba żadnego wybitniejszego typu politycznych przekonań.

Nazwa »Nowej Biesiady«, albo ściślej »Współczesnego Sympozyonu« — w przypomnieniu niby Sympozyonu platońskiego, — mało, co prawda, odpowiada treści. Swobodną rozmowę ludzi wieczorzących umysłowość angielska zastąpiła szeregiem »spiczów« wygłoszonych jakby z publicznej trybuny. Idąc prosto za wytkniętem założeniem, uprosił też autor cały tok dyskusyi; można powiedzieć, że prawie jej niema; pogląd występuje za poglądem, sam dla siebie, sam w sobie zamknięty, zaledwie zaczepiając tu i ówdzie polemicznie o pogląd poprzedników. A jak jego mowcy tak i sam autor nie polemizuje; własnego zdania nawet nie wypowiada, nie stara się dać jakiegoś rozwiązania problemów. Wie dobrze, że takie »rozwiązanie« byłoby tylko dorzuconym do poprzednich jeszcze jednym poglądem, jeśli nie ich eklektyczną kombinacją. Toteż »filozof«, który zamyka dyskusyę i z którego ust oczekujemy jakiegoś objawienia lub syntezy, daje nam raczej mglistą wizyę, z której wyłania się twarz człowieka przyszłego, podobnego dawnym bogom Hellady... I takie rozwiązanie tematu można uznać za słuszne; boć z wyższego punktu widzenia ten cały gwar i zamęt dążeń i przekonań kołysze się właściwie jak piana na cichych i ciemnych głębiach nieświa-

domego; jest to dążenie, pęd, który znajduje różny praktyczny i uświadomiony wyraz, ale sam w sobie jest raczej instynktowy. Jest to pęd naprzód, do czegoś przyszłego i lepszego, do jakiejś nieznaney doskonałości. Jeśli ta doskonałość nie polega tylko na lepszej paszy ludzkiego bydłęcia, to nie może polegać na czem innem, jak na wytworzeniu i rozpowszechnieniu doskonalszego typu ludzkiego. A ten to może wyższy punkt widzenia daje autorowi ten optymizm, który warunkuje zarazem jego niepospolity kunszt tak obiektywnego i kongenialnego przedstawienia rozmaitych, najsprzeczniejszych poglądów, że czytelnik wmyśla się w kaźden i z kaźdym współczuje. I to właśnie bardziej niż polemika i namowa zmusza go do zastanowienia się w końcu nad tem, gdzież ostatecznie jest prawda i która droga jest trafną. W takim ujęciu rzeczy leży wielka wartość pedagogiczna książki. Mógłby ktoś zarzucić, że rzecz nie jest dość pogłębioną, — lecz nie o to tu chodzi, — ale raczej raz o zszeregowanie poglądów, o ich przegląd, a potem o owo wydobywanie jasnych i prostych konturów czystej idei, którą w życiu nawał szczegółów drugorzędnych, animozye osobiste, taktyczne ustępstwa i kompromisy zaciemniają. To właśnie ograniczenie się do czystego jądra rzeczy powoduje, że mimo obcej nam sceneryi, wszystko co słyszemy nie wydaje nam się obcem, odległym, ale daje się bezpośrednio zastosować i od-

nieść do naszych stosunków. Parę zaledwie drugorzędnych formalnych zmian wystarczyłoby zrobić, aby książka wydawała się nie tłumaczoną, ale wyrosłą wprost z naszej gleby. Lub raczej z gleby wspólnej — współczesnej cywilizacji zachodu. Oczywiście, co do nas, z jednym uzupełnieniem w kierunku wydobycia znaczenia narodowej niezależności. Zbierałaby ochota dopełnić przekład dodaniem jeszcze jednego mowcy, któryby o tem coś powiedział. Ale należałoby go uczynić już nie Anglikiem ale Polakiem — i kto wie czy w tem towarzystwie byłby należycie zrozumiany; a jeśli tak, czy nie zamilkliby ci wszyscy, którymby po nim jeszcze mówić przypadło, w tem uczuciu, że wszystkie ich pragnienia, bole i niepokoje, w porównaniu z jego troską, są niemal dzieciństwem... Ten brak jednak musimy z natury rzeczy angielskiemu autorowi wybaczyć.

Najlepszą miarą wartości książki jest zadowolenie z jakim ją po przeczytaniu odkładamy. Źródłem jego nie jest rozjaśnienie rzeczy nieznanych, poznanie nowych, ale to — estetyczne można powiedzieć — uczucie ułożenia w ład i porządek przejrzysty tego, cośmy wiedzieli, uświadomienia tego, co w poczuciu naszym drzemało. A to jest rzecz ważna i pożyteczna.

J. G. Pawlikowski.

BIESIADNICY:

LORD CANTILUPE

(Konserwatysta starej daty – Torys)

ALFRED REMENHAM

(Liberał)

RUBEN MENDOZA

(Neo-konserwatysta)

JERZY ALLISON

(Socyalista)

ANGUS MACCARTHY

(Anarchista)

HENRYK MARTIN

(Profesor)

KAROL WILSON

(Przyrodnik)

ARTUR ELLIS

(Dziennikarz)

FILIP AUDUBON

(Aferzysta)

AUBREY CORYAT

(Poeta)

SIR JOHN HARINGTON

(Wielki pan)

WILLIAM WOODMAN

(Kwakier)

GODFRYD VIVIAN

(Literat)





Słyszeeli może niektórzy moi czytelnicy o t. zw. klubie Badaczy. Dziś on już nie istnieje; ale miał niegdyś swoją sławę, zaliczał do swych członków pewien zastęp mężów, którzy w polityce i zawodach wolnych zajmowali wybitne stanowiska. Zbieraliśmy się raz na dwa tygodnie, w sobotę wieczór — zimą w Londynie, latem zazwyczaj na wsi, u jednego z członków, w którego gościnnym domu spędzaliśmy także następną niedzielę. Zebraniu przewodniczył pan domu; jemu przypadało otwierać dyskusję nad odczytanym referatem, powoływać członków do zabierania głosu, w porządku, jaki uważał za odpowiedni.

Diskusya, z której chcę zdać sprawę, odbyła się u mnie, gdzie dziś piszę, w okolicy North Downs. Towarzystwo było ciekawe. Więc był Remenham, ówczesnie pierwszy minister, a z nim wielki jego przeciwnik, Mendoza — obaj członkowie naszego stowarzyszenia. Chodziło nam zawsze o pozyskanie sobie jaknajprzeciwniejszych pierwiastków; a odziedziczonej po założycielu, szczę-

śliwej tradycyi zawdzięczaliśmy, iż prawie zawsze udawało nam się utrzymać oba pierwiastki w chwilowej harmonii. Dalej był Cantilupe, który był niedawno ustąpił z życia publicznego, a dziś już mało komu jest znany. Z młodszych mieliśmy Allisona, który, choć nie przestał być aferzystą, już się oddawał czynnej propagandzie socjalistycznej. Do naszych też liczyli się: Angus MacCarthy — którego tragiczny w Petersburgu koniec tkwi świeżo w naszej pamięci — biolog Wilson, profesor Martin, poeta Coryat — i jeszcze kilku, o których będzie swego czasu mowa.

Było to w czerwcu. Po obiedzie, w wieczór niezwykle upalny, przeszliśmy na kawę i cygara na terasę. Cudowna pogoda i piękny widok na błonia i lasy całego hrabstwa Sussex, leżące przed nami w półmroku, zapraszały do odbycia posiedzenia raczej na dworze, niż w domu. Lecz okazało się, że Cantilupe, który był tego wieczora referentem, nie przyniósł ze sobą żadnego odczytu. Albo zapomniał, albo z powodu zajęć niczego nie wypracował. Niezadowolenie było ogólne. Cantilupe zaproponował zaniechanie zwykłej dyskusyi, ale propozycję tę z oburzeniem odrzucono — i domagano się, ażeby zaimprovizował coś na temat, jaki miał opracować. On się od tego stanowczo wymawiał i już się zdawało, że dyskusyi niebędzie, kiedy mnie, przewodniczącemu, przyszło na myśl podjąć dalszy kierunek układów.

— Nieulega wątpliwości — rzekłem — iż Cantilupe zasługuje na jakąś karę. Skoro więc niechce improwizować referatu, proponuję, żeby nam zaimprowizował mowę. Dla niego to nic trudnego, czynił to już nieraz — a ponieważ wycofał się z życia publicznego, może to dla niego już ostatnia sposobność. Niech więc z niej skorzysta i w ten sposób wynagrodzi uczyniony nam zawód. Za pokutę zadaję mu — spowiedź z własnego życia. Niech nam powie, dla czego był politykiem, z jakich powodów był i jest konserwatystą (*tory*) i czemu teraz w sile męskiego wieku porzuca publiczną służbę. Jednem słowem, proponuję, ażeby nas zapoznał ze swoim punktem widzenia. W ten sposób sprowokuje Remenhama, któremu oddam głos w bezpośrednim następstwie, Remenham spowoduje wystąpienie kogoś innego — każdy z nas przedstawi swoje zapatrywania i wieczór spędzimy zajmujący.

Tę myśl przyjęto — jeśli nie z zapalem, to przynajmniej zgodnie. Cantilupe zrazu silnie się sprzeciwiał, w końcu jednak uległ naleganiom i na moje wezwanie, jakkolwiek niechętnie, powstał z miejsca. Parę minut stał w milczeniu, ściągał ramiona i było znać, że poza gęstą brodą krzywił usta zakłopotanym uśmiechem. Potem, zwykłym sobie wolnym, stanowczym głosem tak zaczął:

Dla czego wziąłem się do polityki? Z jakich powodów? Sam nie wiem. To pewna, że w zakresie moich pierwotnych planów i zamiarów karyera polityczna nieleżała. Miałem być obywatelem ziemskim i teraz myślę nim do końca życia pozostać. W tem, ażeby być otwartym, jest istotny powód mojej rezygnacyi. Do życia politycznego wpędzono mnie za młodu — bodźcem był poniekąd familijny obowiązek; a gdy się raz na tę drogę weszło, ustąpić z niej jest bardzo trudno. Teraz ustępuję — bo, wśród innych powodów, nie widzę w życiu politycznem dla siebie żadnego miejsca. Konserwatyzmu już niema. A ja, jak mnie słusznie nazywacie, jestem konserwatystą. Chcecie wiedzieć, dla czego? Hm! Alboż ja wam potrafię powiedzieć? Powinienbym zapewne umieć, móżdż to uczynić. Remenham np. potrafi zdać i z pewnością zda wam sprawę jaknajdokładniej z powodów, dla których jest liberałem. Ale Remenham ma zasady — ja zaś mam tylko uprzedzenia. Jestem konserwatystą, bom się nim urodził — tak jak ktoś inny jest radykałem, bo się radykałem urodził. Remenham jest w mem przekonaniu liberałem dla tego, ponieważ przyszedł do przekonania, iż być nim powinien. Podziwiam go za to, ale rozumieć go żadną miarą nie mogę. Co do mnie, jeżeli mam się bronić, czy usprawiedliwiać, mogę to uczynić

tylko w ten sposób, że przedstawię i wypowiem moje uprzedzenia. I doprawdy, rad jestem, iż nastręcza się ku temu sposobność, bo człowiek potrzebuje czasem wypowiedzieć swoje myśli — a dziś tego w życiu publicznem uczynić niemoże.

Pierwsze uprzedzenie moje jest w tem, iż wierzę w nierówność. Niesądzę, żeby ono było wyłącznie tylko mojem — w praktyce, prawie każdy człowiek niem się powoduje, nawet w Ameryce. Lecz ja nietylko uznaję fakt, ale nawet pochwalam ideał nierówności. Sam niemyślę stawiać się na równi z Darwinem, lub z niemieckim cesarzem, więc nierozumiem, dla czego inni mają być mnie równi. Społeczeństwo, mojem zdaniem, powinno być odpowiednio ukłasyfikowane, według rangi i klasy. Od mego rzeźnika i ogrodnika wymagam ukłonu, sam skwapliwie odslaniam głowę przed moim monarchą. Nie wdaję się w to, czy od wiejskiego cieśli jestem lepszy, czy gorszy; jestem — coś innego; chcę, żeby on to uznał, sam chcę o tem pamiętać. Podobno w Ameryce jeden człowiek mówi drugiemu przy każdej sposobności, lub pośrednio czy bezpośrednio daje mu do poznania, że jest tak dobry, jak i on. To nieprawda — a gdyby i było prawdą, nie jest rzeczą dobrego wychowania tak ciągle mówić. Bądź jak bądź, wolę społeczeństwo, którego członkowie mają swoje miejsca i na nich pozostają. Tak też rzeczywiście jest w każdym społeczeństwie — tylko, w społe-

czeństwie demokratycznym, ludzie niechęcią tego przyznać i z tego powodu stosunki społeczne są tam daleko bardziej szorstkie, daleko bardziej przykre i daleko mniej ludzkie, niż są, lub były, w Anglii.

To moje pierwsze uprzedzenie — i z niego pochodzi mój wstręt do całego ruchu demokratycznego. Nierozumiem, jak można udawać, że się chce wszystkich ludzi politycznie równać, kiedy oni są przecież pod każdym innym względem nierówni. Róbcie, co chcecie, a jednak zawsze tylko garstka ludzi rządzić będzie. Jedynym rezultatem rozszerzenia prawa wyborczego jest to, że władza polityczna przeszła od obywateli ziemskich do klas zarobkowych i do politycznych «macherów». Zmiana, mem zdaniem, niefortunna. I tu przychodzę do mego drugiego uprzedzenia — uprzedzenia przeciw zarobkowości.

Niechęć, oczywiście, powiedzieć przez to, że się bez niej możemy obejść. Kraj każdy musi starać się o zamożność; atoli sądzę, iż było nam lepiej, gdyśmy mieli tej zamożności mniej, niż dziś. Ani też nieprzeczę, iż można wśród zarobkujących znaleźć ludzi porządnych, ucziwych i zdolnych. Lecz mniemam, że gonienie za bogactwem czyni ludzi mniej zdatnymi do służby państwowej. Sympatyzuję nawet z nieco skrajnym poglądem minionych wieków, kiedy ludzi zarobkujących w handlu lub rzemiośle wykluczano z publicznych urzędów. Tre-

ścią mego wyznania jest wiara w rządy dżentelmenów — a przez dżentelmana rozumiem staroangielskim obyczajem człowieka materyalnie niezależnego, wychowanego od lat chłopięcych w publicznego życia atmosferze, przeznaczonego do armii, marynarki, Kościoła, lub parlamentu. Ten rodzaj ludzi uczynił Rzym wielkim, uczynił niegdyś wielką tę naszą Anglią. Niewierzę, ażeby wielkiem mogło kiedykolwiek stać się państwo, rządzone przez kupców, sklepikarzy i rzemieślników. Nie dla tego, iżby ci ludzie niebyli, niemogli być ludźmi godnymi wszelkiego szacunku; ale dla tego, ponieważ zajęcia ich i ich sposób życia uniezdatnia ich do publicznej służby.

Otóż tego rodzaju uczucia — nienazwę ich zasadą — zadecydowały o mojem postępowaniu w życiu publicznem. A pamiętajcie, panowie, że, kiedym rozpoczynał publiczną karyerę, można było uczuciom tym dawać wyraz daleko łatwiej, niż dziś. Jeszcze po pierwszej reformie wyborczej ¹⁾ — która, mojem zdaniem, wyszła z błędnych przesłanek — rządy Anglii spoczywały w ręku ziemskiego obywatelstwa; spoczywałyby do dziś dnia, gdyby to mogło być zależeć odemnie. Czego wtenczas była istotna potrzeba, to nie parlamentarnej reformy, tylko lepszego, inteligentniejszego rządu; a klasa ówczasie rządząca mogła go była bardzo

¹⁾ 1831. (Przyp. tłum.)

dobrze dostarczyć. Dowodem, szereg ustaw przeprowadzonych w czwartym i piątym dziesiątku zeszłego wieku — nowa ustawa, dotycząca ubogich, ustawa sanitarna i inne. Nawet odwołanie ustaw zbożowych dowodzi conajmniej, iż prawodawcy umieli poświęcić własne interesy dla dobra ogółu — choć skądinąd uważam to odwołanie za najwłaśniejszy błąd parlamentu. Niewystępuję bynajmniej, jako polityczny ekonomista; niesprzeciwiam się wcale, gdy mi kompetentni ludzie mówią, że wolny handel zwiększył naszą zamożność. Ale nikt mnie jeszcze nieprzekonał — choć wielu przekonać chciało — że wzrost zamożności powinien stanowić jedyną troskę narodowej polityki. A przecież jasnym jest, jak słońce, że polityka wolnohandlowa zepsuła całą budowę naszego społeczeństwa. W miejsce zdrowych robotników rolnych dała nam nędzny proletaryat miejski; przeniosła wielką masę zamożności od ziemskiego obywatelstwa do kupców — przez to przesunęła coraz bardziej władzę od tych, którzy posiadali tradycję jej użytku, do tych, którzy niemają żadnej innej tradycyi, prócz akumulacyjnej — składania na kupę, gromadzenia bogactw. I akurat to właśnie, co, mem zdaniem, powinno być główną troską męża stanu — więc rozkład należytych stosunków jednej klasy do drugiej — zdaliśmy na hazard rywalizacyi. Zamiast problem rozwiązać, opuściliśmy nad nim z zwątpieniem ręce; a rezultat jest ten, że nasza lu-

dność — tak mi się zdaje — pograża się dzień za dniem w zwyrodnieniu, w naszych oczach podpada fizycznie i moralnie i estetycznie i pod każdym względem wartościowym, gdy my tymczasem pocieszamy się wzrastającą zbiorowością naszego mienia, naszej zamożności.

Wolny handel stał się, mojem zdaniem, pierwszą wielką zdradą kraju, jakiej klasa rządząca dopuściła się względem kraju i względem siebie samej. Niechęć powiedzieć, iż niezaprowadziłbym był w odziedziczonym po minionych czasach systemie parlamentarnym żadnej zmiany. Lecz nigdybym nie był przyznał, że każdemu człowiekowi przysługuje prawo wyborcze, tem mniej, że prawa wszystkich są jednakowe. Bo, cokolwiekbądź powiemy, społeczeństwo nie składa się z jednostek, tylko z klas — i tylko klasy powinny je reprezentować. Dałbym był wyborcze prawo wieśniakom, rzemieślnikom, kupcom, fabrykantom, jako takim — biorąc za jednostkę interes, nie zaś pojedynczego człowieka i nadając każdemu interesowi tyle wagi, ileby mu było potrzeba do zaznaczenia i uwydatnienia swego wpływu, jednakże z zachowaniem obywatelstwa ziemskiemu całej jego przewagi. Niebyłoby to łatwem, bezwątpienia, lecz byłoby się w skutkach opłaciło; natomiast również głupiem jest, jak łatwem, iż dodajemy po prostu coraz to dalsze kategorie wyborców, aż przyjdziemy do tego — jestem przekonany — co

w gruncie rzeczy będzie prawem wyborczem powszechnem, choć nigdy nieprzyznamy, że nam o nie doprawdy chodziło.

Ale — co się stało, odstać się już niemoże. Na przyszłość, rządzić w Anglii będą liczby, a raczej ludzie, operujący liczbami. Niebędą to ludzie tacy, pod jakimi dotychczas wzrastała i wzrasta wielkość Anglii. Dla mnie i dla tych, którzy myślą tak samo jak ja, miejsca w polityce już niema. I, co do mnie osobiście, świadomość ta mnie pociesza. Niech ci, którzy nas zapędzili w matnię, teraz nas z niej wydobędą. Prawdopodobnie zabiorą się do tego na swój sposób, ale w ciągu zabiegów sprawią to, iż ta Anglia, którą znałem i rozumiałem i kochałem, stanie się zgoła inną. Będziemy mieli ludność miejską, karmioną i rozmieszczoną lepiej, chcę ufać, niż dziś — zręczną, sprytną, bystrą i sprawną, żyjącą wyłącznie mózgowo, umiejącą w okamgnieniu wykorzystać wiedzę w celach bezpośredniego użytku — lecz w gruncie rzeczy posiadającą wiedzy bardzo mało i bardzo powierzchownie. Mniej będzie tego rodzaju ludzi, jaki mi jest sympatyczny: ludzi, w których z lubością uznaję prawdziwych Anglików, a których wytworzyło nasze wieśniactwo; dzielnych chłopów, rosnących jak jarzyny i, całkiem nieświadomie, przybierających rozumu, jak przybierają tuszki — w bezwiednym postępie asymilacyjnym; takich, co to mogą stać godzinę, wpatrzeni w konia

lub świnie, ze skamieniałemi twarzami księżycowemi, tak bezruchowemi, jak są ciche stawy; ludzi, których gość z miasta ma za głupich, dla tego, że się namyślają pięć minut, zanim odpowiedzą na pytanie — i odpowiedzą, prawdopodobnie, stawiając sami zapytanie — ale ludzi z ogromnym zapasem doświadczenia, tak szerokiego i tak złożonego, iż im samym nieprzychodzi nigdy na myśl zdawać sobie z niego sprawę. Żyją, nie mózgiem, tylko instynktem — lecz ich instynkt jest powolnym narostem długoletnich, praktycznych doświadczeń z przyrodą.

To jest typ Anglika, którego lubię. Z tego typu ludźmi i wśród nich najchętniej żyję i obcuje, w tradycyjnych stosunkach, którym sprzeciwić się wcale im nieprzychodzi na myśl, tak jak mnie nieprzychodzi na myśl stosunków tych nadużyć. Stosunki tego rodzaju niedadzą się stworzyć, są wynikiem powolnego wzrostu i rozwoju, idą spadkiem z ojca na syna. Nowi na rolę przybysze nigdy ich zaprowadzić niepotrafią. Przynoszą z sobą odosobnienie — wytwór miast. Niemają pojęcia o innych węzłach, prócz płatniczych; właściwe pojęcie sąsiedzkości jest im całkowicie niezrozumiałe.

I to mi przychodzi na myśl rzecz ciekawą. Ludzie zjeżdżają dla towarzystwa do stolicy, do miasta; moje doświadczenie przekonało mnie, że rzeczywistego towarzystwa niema nigdzie, jak tylko na wsi. Być może, iż my tam jesteśmy zacofani,

jednakże stanowimy składnik układu, wcielającego mądrość pokoleń. Spotykamy się, nie w salonach, a na polowaniach, na prezydyalnych trybunach sądowych, na zbiorowych obiadach stowarzyszeń farmerów i dzierżawców. Nasze sprawy własne, osobiste są wszechstronnie splątane z publicznymi. Zajęcia nasze nie zniewalają nas do współzawodnictwa, a wiemy, iż codzienne spełnianie naszych obowiązków stanowi samo w sobie rodzaj narodowej służby.

Taki układ rozumiem i wielbię — jak go rozumieli i wielbili moi ojcowie. I dla tego jestem konserwatystą. Nie gwoli jakichkolwiek opinii, lecz gwoli mego charakteru. Stałem w konserwatywnych szeregach, póki konserwatyzm miał swoje znaczenie; dziś, gdy go już niema, choć nie stoję w konserwatywnych szeregach, konserwatystą jestem — bo nim niebyć niemogę. Ta Anglia, jaka dziś jest, pozostanie do końca mych dni; Anglia przyszłości nie zajmuje mego umysłu — i rad jestem, że z jej ukształtowaniem niemam nic do czynienia.

Czy takie wyluszczenie stawionej mi kwestyi jest dostateczne, niewiem; powiedziałem, co miałem do powiedzenia — sędzę, że więcej panowie nie powinniście wymagać. Wyobrażam sobie zawsze, że, gdy Bóg zażąda odemnie zdania sprawy z mego życia, powiem Mu: Ot, jestem takim, jakimś mnie stworzył. Czyń ze mną, co Ci się po-

doba. Gdyby mi przyszło wrócić na ziemię, żyłbym akurat tak samo. A jeśli, Panie Boże, chcesz, abym żył inaczej, to musisz mnie uczynić innym.

Walczyłem za sprawę straconą — żał mi, że upadła. Ale mi serce dla tego niepęka. Przecież do ostatka mogę wieść życie, jakie szanuję i jakie mi sprawia przyjemność. Naród — pozostawiam Remenhamowi, który, jak widzę, niecierpliwi się z odpowiedzią na moje kacerstwa.

Remenham rzeczywiście kręcił się na krześle, jak gdyby na niem niemógł usiedzieć. To też wiedziałem, że jemu powinienem oddać głos, choćbym nawet nie był z góry postanowił tak uczynić. Zerwał się z krzesła skwapliwie i od razu byliśmy uderzeni różnicą między nim a Cantilupem. Wyniosła, elastyczna postać, energiczna dolna szczęka, zamaszystość gestów, czysty dźwięk głosu — wszystko to znamionowało wyraźnie umysłową i nerwową siłę, jaką posiadał w większym stopniu, niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Zaczął bez najmniejszego wahania się, mówił od początku do końca z tą wyćwiczoną i łatwą wymową, w jakiej celował



estem pewien — rzekł — iż mi panowie uwierzyście, gdy powiem z naciskiem, że nicby mnie niemogło tak głęboko martwić, jak myśl — gdybym był zmuszony na nią się zgodzić — iż te liberalne zarządzenia, od których w mojem przekonaniu pomyślny rozwój i prawdziwy dobrobyt kraju zależą, muszą z konieczności pociągać za sobą ustąpienie z publicznej służby takich ludzi, jak nasz przyjaciel, który mówił przedemną. Nam potrzeba wszystkich umysłowych i moralnych kraju zasobów, a do nich, jako nie do najmniej cennych i wydatnych, zaliczam zastęp naszych starodawnych, ziemskich obywateli. Nad rezygnacją Cantilupe'a ubolewałem z powodów zarówno ogólnych, jak osobistych; a tem tylko łagodzi się mój żal — choć bynajmniej nie ustaje — gdy widzę, jak pięknie, jak zacnie i jak szczęśliwie Cantilupe używa zasłużonego spoczynku. Zarazem stwierdzam z radością, iż mamy jeszcze i, jak sądzę, zawsze w doradczem ciele narodowem mieć będziemy ludzi jego znakomitego typu i jego tradycyi — ludzi, stanowiących jedną (i to wcale nienajmniej doniosłą) z równoważek i «zębów» wielkiej i skomplikowanej, państwowej maszyny.

Kiedy atoli żąda — lub raczej pragnie — dla znakomitej warstwy, której jest członkiem, czynnej i stałej w państwie przewagi, to ja, wyznaję, mu-

sze się mu sprzeciwić. Ba, nawet niemożę zgodzić się na teorię, którą przedstawił, niezmiennej i stałej reprezentacji interesów. Nieulega wprawdzie wątpliwości, że społeczeństwo, z tajemniczego zrządzenia Opatrzności, jest przedziwnie złożone z najodrębniejszych pierwiastków i klas, odpowiadających przeróżnym potrzebom i wymogom ludzkiego życia. I jestto odwieczna teoria, ciesząca się powagą wielkich imion — uwielbionego mego mistrza, poety-filozofa Platona, Arystotelesa, założyciela nauk politycznych — że męża stanu zadaniem jest w ten sposób sporządkować te skądinąd rozbieżne pierwiastki, ażeby w ciele politycznem zaprowadzić raz na zawsze doskonałą, ostateczną i niezmienną harmonię. Według tego zapatrywania, istnieje tylko jedna jedyna struna, na której wielki organ społeczeństwa może grać; a zadanie prawodawcy ogranicza się do takiego nastrojenia instrumentu, ażeby muzyka była poprawna. W ten sposób, gdyby myśl Platona była się ziściła, to owa wielka, wspólna struna, harmonia producentów, żołnierzy i myślicieli byłaby do tej pory dzwoniła po przez wieki jedną i tą samą nutą — gdziekolwiek istnieją zrzeszone gminy ludzi. Prawda, że wymarzona przezeń harmonia była piękna. Ale te właśnie rozdźwięki, którym Platon pragnął nakazać milczenie, a które od jego czasów do naszych grzmią i huczą pod echonośnem sklepieniem czasu z bezustannie rosnącą siłą, stanowią, mojem zda-

niem, harmonię wspanialszą, niż mogła pojąć nawet jego wyobraźnia. Te rozdźwięki snują w skomplikowanym swym postępie plan jakiejś uniwersalnej, całościowej symfonii, której nasze grube zmysły zaledwie w części tylko mogą się domyślać, którą atoli czysty umysł duchów nieśmiertelnych z zachwyceniem rozumie i poznaje.

Jestto rzeczywiście podstawową wadą wszystkich ideowych systemów politycznych — (a o ileż większą tych, które skamieniają teraźniejszość, nawet jej nieidealizując!) — że, choćby i były doskonałymi, ich doskonałość uwzględnia tylko jeden kompleks warunków; że, gdyby miały przetrwać, musiałyby utrwalić zarazem te warunki, które powinny przecież stanowić tylko krótkie i przejściowe momenty w dziejach danej rasy. Gdyby się było Platonowi udało opasać zamieszkaną kulę ziemską złotym łańcuchem miast filozoficznych, byłby wśrubował światu na wieki instytucje niewolnictwa i kastowe, byłby u pierwszego wytrysku замуrował źródła wiedzy i wynalazków, i wieczną impotencją skrępował geniusza państwowego, który sam jeden potrafi sporządkować w celu wspólnym i produktywnym wszystkie energiczne i krnąbrne członki tego wzrastającego stworzenia, któremu miano Człowiek. A jeżeli wyobraźnia takiego Platona, puszczona swobodnie do pracy, byłaby w ten sposób ubezplodniła nasienia postępu, cóż powiedzieć o nas samych? do czego my do-

prowadzilibyśmy, chcący nałożyć płodności natury granice i przepisy naszych cząstkowych obliczeń! Nam wypada raczej poddać się pokornie pod jej kierownictwo i nasze instytucye tak przystosować, ażeby jaknajmniej przeszkadzały ruchom i siłom, w nich działającym. Dziś bowiem wiemy już, że przez walkę przeobraża się z form niższych forma wyższa, że sama przyroda — tak się nieomal zdaje — niekieruje, tylko się przypatruje, jak jej świat mozolnie się wyłania z chaosu. Widzimy, że przyroda nie interweniuje z nierozmyślną gorliwością, by wrzenie tworzenia zatrzymać na danym punkcie; że niewyciąga ręki nad pięknem róży lub rajskiego ptaszka, by wstrzymać rozwój, który je ma zniszczyć; nie poświęca na oltarzu form niższych szlachetniejsze niedoskonałości człowieka i tego, co może istnieje poza nim. Przyroda ma zawsze cel na oku — i my również, w naszej racyi stanu, mieć go powinniśmy, starając się, ażeby nasze instytucye dawały wolny upust siłom, z którymi mamy do czynienia, nie zaś ażeby je ograniczały. Nasze systemy powinny, jak skóra, narastać na żywych włóknach społeczeństwa. Bo skąd przychodzimy do tego, by temu lub owemu człowiekowi rozkazywać: ty masz orać, ty kupeczyć, lub państwem rządzić? by powiedzieć kupcowi: tobie ma przypadać w udziale tyle a tyle władzy — rolnikowi: a tobie tyle, nie mniej ni więcej? Nie! powiedzmy raczej wszystkim i każdemu z osobna:

stań, gdzie możesz, sprawuj tę władzę, jaką potrafisz zdobyć! Niech nasz układ społeczny uwydatnia rozkład sił w naszym społeczeństwie, w miarę jak one się zmieniają, niech wraz z niemi zmienia się rozkład władzy! To stanowi wyznanie wiary liberalizmu — wyznanie, mające za sobą głos i sankcję przyrody, a dodałbym w pokorze, mające sankcję Wszechmocnej siły — w rozkładzie i porządku przedziwnego wszechstworzenia.

Nieprawdą jest, iż to wyznanie jest burzycielskie, niszczące. Nikt, ani sam Cantilupe, niemoże mieć więcej szacunku, niż ja, dla naszej starodawnej Korony, dla dziedzicznej naszej arystokracji. One, dopóki zasługują — a oby długie zasługiwały lata! — zachowają czestne swe miejsce w sercu i przywiązaniu narodu. Tylko, równorzędnie z niemi, chciałbym pomieścić wszystkie pierwiastki i interesy, które mogą przyjść do życia w naturalnym rozwoju społecznych sił. Te atoli będą nazbyt mnogie, nazbyt z sobą splecione, zbyt szybko zmienne w wzajemnej wadze i wartości, by umysł ludzki mógł się pokusić, drogą sztucznego planu, o zrównanie i sporządkowanie ich sprzecznych dążeń. Otwórzmy wszystkim ludziom równomiernie, w granicach roztropności, drogę do politycznego wpływu — niech korzystają, jak potrafią i zechcą, w skombinowanej lub odosobnionej akcji, z wszystkich w ten sposób liberalnie danych im sposobności.

To jest węgielny kamień polityki, którą przyjąłem od samego początku, której byłem zawsze wiernym — i której chcę pozostać wiernym do końca, choćby jej końcem miało być powszechne równouprawnienie wyborcze, którego mój przedmowca tak bardzo się lęka. Jego zdaniem, jestto polityka lekkomyślnego opuszczenia stanowiska. Ale... opuszczenia dla kogo? Dla ludu! O co więc chodzi? O to, czy mamy do ludu wiarę i zaufanie. Ja je mam — Cantilupe niema. Ta jest, sądzę, istotna między nami różnica.

Tak; nie wstydzę się tego powiedzieć: ja ludowi ufam. Komu, czemu miałbym ufać, jeśli nie jemu? Czemże jest naród, jeśli nie zrzeszeniem talentów, zdolności, cnót i zalet obywateli, którzy go składają? Użyć tych talentów, wywołać te zdolności, dać cel i sposobność tym cnotom i zaletom — to musi być celem i zadaniem każdej prawdziwie wielkiej i szlachetnej polityki. Temu celowi usiłowałem zawsze, w miarę możliwości, służyć — nielekkomyślnie ani nie niecierpliwie, mniemam, tylko w duchu trzeźwej i silnej wiary.

Tak pojmuję liberalizm.

Lecz, jeśli liberalizm ma swoje posłannictwo w samej ojczyźnie, jego zasady mają niemniejsze znaczenie w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Niemyszę puścić się na rozhukane morze zagranicznej polityki. Ale jednego punktu dotknę,

sko go poruszył mój przedmowca — mianowicie kwestyi zagranicznego naszego handlu. Mojem zdaniem, żaden dział ludzkich czynności nie objawia zamiarów Opatrzności tak wyraźnie, jak właśnie ta wymiana wytworów pracy. Każdej części ziemi przypadły w udziale pewne szczególne dary dla pożytku i użytku człowieka; każdemu narodowi dano szczególną zręczność i odpowiednie sposobności. Jak zaś świat został stworzony w celu pracy, tak też stworzony został w celu wymiany. Poza oceanem, przez który wytrwałość sztuki poprowadziła drogi, śpichlerze nowego świata domagają się w swej niewyczerpanej płodności — żelaza i stali, narzędzi świata starego. Wielcy pasterze owiec na bezmiernych nizinach Australii, indyjscy rolnicy, szczęśliwie dziś wyzwoleni murzyni Stanów Georgii i Karoliny dostarczają żywności fabrykom i przedziałniom Manchesteru i Bradfordu, z nich biorą swoje potrzeby. Londyn rozwesela się plonem winnic francuskich i hiszpańskich, chłopa włoskiego ubiera praca rzemieślnika z Leicesteru. Złoty łańcuch bezustannie się rozwija, srebrne wiadra idą w dół i w górę — jedno drugiemu, napelnione i przepelnione, przelewa strumień, płynący z rogu obfitości przyrody. Takie jest prawo, wykreślone przez Moc, która rządzi losem świata, a żadne mieszanie się człowieka do Jej dobroczynnych zamiarów niezdola całkowicie wstrzymać i udaremnić ich działalno-

ści. Mimo to, ślepa chciwość, nieokrzeseane pojmo-
wanie narodowego zapału rozluźniają, o ile mogą,
sprężyny i sprzęgi wielkiej maszyny, przeszkadzają
ich robocie i ograniczają ich użytki. Lecz, jeśli
z czegokolwiek ten wielki naród może słusznie być
dumnym, to z tego, iż on pierwszy przebił i zdru-
zgotał wały i tany przewrotnej zabiegliwości,
przepuścił w nieograniczonej obfitości do każdego
kanału swych łąk zielonych czyste i zapładniające
strumienie handlu.

Zaiste, otrzymała Anglia swą nagrodę! Przej-
rzyjcie roczniki dziejów, daremnie szukać będzie-
cie przykładu dobrobytu tak bezmiernego, tak cią-
głego i postępowego, jaki uszczęśliwia kraj ten
od pół wieku. Przyznaje to nawet ostatni mowca.
Lecz twierdzi z żalem, że niezastanawiamy się nad
zmianami, jakie nowy system zaprowadza w cha-
rakterze i zajęciach narodowego ogółu. To praw-
da — i lekkomyślnym byłby, ktoby chciał przepo-
wiadać dalsze tej polityki rezultaty, lub wahać się
przed następstwami wolności dla tego, że niepo-
trafi przewidzieć ich charakteru. Któż z nas miał-
by odwagę, gdyby nawet miał możność, nałożyć
narodowi raz na zawsze formę jego ekonomiczne-
go życia, typ jego charakteru, kierunek jego usiło-
wań? Możliwości, spoczywające w łonie przyrody,
przewyższają naszą domyślność; my tylko może-
my ułatwiać ich narodziny, anatomię im przepisać
niemożemy. Każdodienne zło wymaga każdodzienn-

nej zarady, lecz nikt z korzyścią nieprzewidzi potrzeb przyszłości.

A tymczasem, czego się mamy obawiać? Wyznaję, iż niewidzę żadnych obawy powodów. Polityka wolności okazała swą sankcyę w rezultatach. Tak jestem jej pewny, że, sądzę, niedaleki jest czas, kiedy inne kraje zbudzą się nakoniec do zrozumienia swych istotnych interesów i zaborą się do naśladowania naszego prawodawstwa fiskalnego — niemniej na nasz, jak na swój własny pożytek. Widzę czas już bliski, kiedy ludy świata, zwlokłszy się z politycznych swych nienawiści, zwiążą się spokojnem i pokojowem współzawodnictwem przemysłowem; kiedy te rozgraniczenia nacyonalistyczne, które należą do epoki niemowlęctwa rasy, znikną, stopią się w słonecznem ciepłe wiedzy i sztuki; kiedy huk dział ustąpi przed łagodniejszym szmerem warsztatów, a fartuch rzemieślnika, kurta rolnika czestniej wystąpią, niż dziś żołnierski mundur; kiedy kosmopolityczne szyki przemysłowe zastąpią bojowniczą armię śmierci; gdy tego, co Bóg połączył, nierozłączy ciemnota, głupota i złość ludzka; gdy praca i wynalazek jednego staną się dziedzictwem wszystkich — i ludy ziemi nie na polach bitwy schodzić się będą, tylko przez wybranych delegatów — jak w widzeniu największego naszego wieszczą — w parlamencie ludzkości, w zrzeszeniu świata.

Tak zakończywszy, Remenham usiadł. Mówił — jak to było jego zwyczajem — raczej, jak gdyby przemawiał przed publicznem zgromadzeniem, niż do kółka przyjaciół. Ale tego przynajmniej doka-zał, że inni zapalili się do przedmiotu. Na wielu z obecnych — widziałem to wyraźnie — mowa jego i sposób cały musiały działać szczególnie wy-zywająco. Najbardziej oczywiście na Mendozę. Nie-
zawahałem się przeto zaprosić konserwatywnego przywódcę do złożenia nam zapatrywań przeciw-nych. Zgodził się natychmiast, podniósł zwiśłą do-tychczas na piersi głowę, pokazał złowrogą ży-dowską twarz i z wolna wyprostował swą wysoką postać. Złośliwy uśmiech igrał mu na ustach.



Kto — zaczął — niema przywileju bezpośre-
dniego udziału w obradach Najwyższej
Istoty, temu trudno rozumieć człowieka tak
uprzywilejowanego, jakim zdaje się być
mój znakomity przedmowca. Ale jestto brak, do któ-
rego musiałem z konieczności nawyknąć w ciągu dłu-
gich lat parlamentarnej walki. Musiałem się zdecydo-
wać na to, że, gdzie on lotnie buja, ja tylko pełzam;
domyślam się, zgaduję — gdzie on prorokuje. Je-
dnakże za wszystko jest odszkodowanie. Zaś są może
rzeczy, objawione dzieciom i ssącym niemowlętom,
a zakryte dla dostojniejszych istot. Robak musi

być, sędzę, świadom wysypek i nierówności gruntu, których niedostrzega więcej obejmujący wzrok orła; a jużci, dla robaka przynajmniej, te rzeczy mają większe znaczenie, niż łańcuchy gór i przestrzenie oceanów, do których nigdy nie dojdzie. Z tego skromnego punktu widzenia chcę podać kilka uwag, które może uzupełnią, lub nawet krytycznie ocenią wymowną oracyę, jaką zostaliśmy uraczeni.

Rdzeń przemowy mego przyjaciela stanowiła wolność. Niema brytańskiego serca, któreby na dźwięk tego wyrazu nie zatętniało żywiej i goręcej. Lecz, słuchając jego namiętnych słów, niemo-głem się wstrzymać od ciągłego dziwu — dla czego mowca wzbraniał się rozdać nam najwyższy i najcenniejszy dar wolności w jeszcze obfitszej, hojniejszej mierze? Prawda, że sprawił dużo, by znieść baryery, dzielące naród od narodu, człowieka od człowieka. Ale, ileż to jeszcze pozostaje, zanim doprawdy zrównamy się i sporządkujemy z przyrodą! Weźmy np. policyanta. Czy p. Remenham zastanowił się kiedykolwiek nad tem wszystkim, co kryje ta poważna postać? nad usymbolizowaną w niej wścibskością do zamiarów dobro-sprawczego Stworzyciela? Policyant — to przecież uosobione, ciągłe, publiczne wyzwanie przyrody. Przezeń słabi mają władzę nad silnymi, nieliczni nad licznymi, inteligentni nad głupcami. On sprawia, że zachowują życie ci, których walka o byt powinna była usunąć. On zastępuje zdolnych nie-

zdarami. On rozprzęga gospodarstwo wszechświata. Pod jego opieką kielkują i wschodzą wszystkie potworne i pasorzytne narośle. Małżeństwo czepia się jego munduru, własność osobista gnieździ się na jego piersi. A póki to wszystko kwitnie — gdzież jest wolność? Prawo przyrodzone wszystkim nam jest znane:

Czcigodne prawo, odwieczny plan:
Zabiera siłą, kto sobie pan,
A trzyma w garści, kto potrafi!

Ale myśmy to prawo usunęli — czarodziejstwem własności. Kamiennym i ceglanym naszym murem daliśmy niewidzialną, obronną załogę. U wrot naszych parków i ogrodów stawiliśmy ciżbę płomienych twarzy i ramion. Kryształowe szyby naszych okien uczyniliśmy trwalszemi od dyamentu. Samym niemowlątkom naszym daliśmy moc olbrzymów. Dzieci mają wszystkiego za wiele, podczas gdy silni mężowie mrą z głodu; plód w łonie wyciąga niesformowane dłonie po zabór księstw. Jestże to wolność? Czy tak chce przyroda? Nie! To jest więzienie Merlina! A mimo swej potworności, istnieje! Czyż więc przyjaciel nasz niema władzy przeciw temu czarowi? Lub, czy może niema woli?

Dalej — czyż możemy mówić, iż jesteśmy wolnymi, iż jesteśmy w zgodzie z przyrodą, ponosząc niewolę małżeństwa, krępując prymitywną

kapryśność instynktu i poddając nasz niestateczny pociąg pod władzę »jednej niezmiennej żony«? Tu — przyznam to otwarcie — przyroda znajduje swój odwet: rzeczywiste wielożeństwo kwitnie wśród nas pod opieką samego prawa. Jednakże prawo istnieje — ono stanowi kanwę, na której z pomocą przedzy osobistej własności dzieżgamy ową Nessusową koszulę — Rodzinę — w którą spowijamy tytaniczne ludzkości energie. Lecz póki ta koszula przylega całkowicie do każdego członka, na co, w imię wolności, zda się, że tu i ówdzie zerwie się guzik i tasiemka? Szermierz przyrody musi podjąć daleko bardziej bohaterską pracę, jeśli doprawdy chce pani swej pozostać wiernym do ostateczności. Pan Remenham kręci głową... czyż więc służy swej sprawie, mimo wszystko, tylko połowicznie? Lub, czy może zaczyna domyślać się poza maską bogini — kłów i pazurów bestyi? Ale, jeśli przyroda nie jest boginią, to jakżeż może przyjąć ją, jako poręczycielkę wolności? A jeśli mamy cenić wolność gwoli jej samej, to jak odróżnimy ją od anarchii? Chyba nie inaczej, jak z należyłą przymieszką koercyi? Skoro zaś to przyznamy, czyż nie przyjdzie nam zstąpić z niebotycznych szczytów prorocstwa do szarych nizin wzajemnego politycznego porozumienia?

Tak dalece, Mendoza zachował ton delikatnej ironii, który, jak wiadomo, gniewał tak bardzo angielskie zgromadzenia i stał na przeszkodzie po-

pularności meża stanu. Teraz jednak mowca zmienił metodę. Mówiąc poważniej i — niestety, dodać wypada — mniej barwnie, dał nam najpoufniejszy, jaki kiedykolwiek wygłosił, wykład o konserwatywnym punkcie widzenia, według własnego rozumienia.

— To są kwestye — mówił — na które odpowiedzieć może nam sam tylko p. Remenham. Dla mnie jest ten grunt za wysoki. Do polotów spekulacyjnych niemam wprawy, w stawianiu zasad nie znajduję zadowolenia. Stawionemu na ziemi, odosobnione fakty nasuwają się ograniczonej mej władzy widzenia z kapryśną szczegółowością, która uniemożliwia wszelkie uogólnianie. W tem może jest powód, dlaczego wstąpiłem do stronnictwa, do którego mam zaszczyt należeć. Bo, mojem zdaniem, to właśnie stronnictwo widzi rzeczy tak, jak są — t. j. jak są w czysto ludzkim widzeniu. Remenham nazwał nas bez namysłu partją reakcyi. Ja bym powiedział raczej, że jesteśmy partją realizmu. Mamy na oku, nie Człowieka, tylko — Anglików; nie politykę idealną, tylko brytańską konstytucyę; nie ekonomię polityczną, tylko aktualny stan naszego handlu i przemysłu. Poprzez ten wielki las faktu, ten gąszcz rzeczy starych i nowych, wśród tych odwiecznych dębów, grubopiennych krzewów, cudnych, pasorzytnych powojów, posuwamy się z oględną nieufnością, idziemy za dawnymi śladami, usiłując pozostawić je wido-

cznymi, lecz wahając się z przebieciem dróg nowych tak długo, dopóki niewidzimy wyraźnie celu, gwoli którego mamy poświęcić nasze najpiękniejsze drzewa. Zmiany podstawowe uważamy jako wyjątkowe i patologiczne. Mimo to, niekrępując się teoryami, ilekroć przekonujemy się o ich potrzebie, wprowadzamy je śmiało i przeprowadzamy je gruntownie. Stąd pochodzi, że, skorośmy uchwalili, iż przyszedł czas powołania ludu do narodowych obrad, podjęliśmy śmiało i nieodwołalnie reformę, o której nigdy niepowiem (i tu żałuję, iż Cantilupe się ze mną niegodzi), jakoby się sprzeciwiała najlepszym i najzdrowszym konserwatyzmu tradycjom.

Takie atoli kroki są wyjątkowe; ufamy, iż będą ostatecznymi. Nielubimy bawić się z konstytucją w partactwo. W mechanizmie rządu widzimy tylko środek; próbą męża stanu jest jego zdolność rządzenia. Niedając do siebie przystępu tej ewangelii wolności, o której nasi przeciwnicy otrzymali specjalne objawienie, widzimy w istniejącym stanie Anglii dużo rzeczy, wymagających kontroli. Nie możemy dzielić optymizmu Remenhama i jego przyjaciół co do kierunku i skutków nowych sił przemysłowych. Ponad łomotem fabryk i szybów słyszemy krzyk nędzy. Poza wspaniałymi magazynami i sklepami widzimy chlewne mieszkania rzemieślnicze. Wzdłuż naszych gościńców śledzimy długie wędrówki wyrobników, wychodzących z oj-

cowych wiosek do miast; śladem ich dochodzimy do cuchnących zaułków i do nor wżyskiwacza pracy — dochodzimy do schronisk nędzy i do więzień — widzimy te tłumy znikające w zachłannej przepaści, podczas gdy w trop za nimi śpieszą inne — na tę samą dolę. Wobec tego wszystkiego, nie sądzymy, iż naszym obowiązkiem jest założyć ręce i powoływać się na zasadę wolności. Jesteśmy przeświadczeni, iż powinnością naszą względem kraju jest zachować nienaruszonym dziedzictwo ludzkie, jedyne źródło kraju wielkości i bogactwa; więc też w tym celu chcemy, według nabytego doświadczenia i rozumu, wydawać prawa — niebojąc się posądzenia o socjalizm.

Jednakże, zajęci sprawami domowymi tych wysp, niezapominamy, iż łączą nas stosunki ze światem zewnętrznym. Gdybyśmy mogli dzielić zapatrywania, tak wymownie wyrażone przez Remenhama, niepotrzebowalibyśmy troszczyć się zbytnio o te stosunki. Remenham widzi, jakgdyby w objawieniu, erę pokoju i dobrej woli, zainicjowaną przez geniusza handlu. Tajemniczem zrządzeniem Opatrzności dopatruje się, jak chciwość i współzawodnictwo ziszczają to wszystko, co pokój ma zdziałać i miłość. Lecz i tu za jego śmiałym wzlotem podążycie niepotrafię. Zamknięty w kole obserwacyi, niemogę niewiedzieć, że w długim a krwawym ciągu dziejów niebyło tak pewnej i płodnej przyczyny wojen, jaką jest handlowe

współzawodnictwo. Nasze własne roczniki dowodzą tego wymownie na każdej karcie. Niewidzę też niczego w warunkach świata nowoczesnego, coby tej prawdzie mogło zaprzeczyć. Powiedziano nam, że wszystkie narody przyjmą nasz system fiskalny. Dla czego mają go przyjąć — jeśli ich własnym nieodpowiada interesom? Myśmy go przyjęli, bo nasze interesy zdawały się tak wymagać; porzucimy go, gdy nam się wyda inaczej. Przez interesy nierozumiem interesów ekonomicznych w ściślejszem znaczeniu. Jestem zdania, że naród każdy, jak każda jednostka, musi dbać o swoją osobowość. Jego zadaniem musi być, nie gromadzenie bogactw wszelkim kosztem, tylko rozwijanie i utrzymanie zdolności, wzrost w potęgę i energię, troska o wielostronność, a nadewszystko o niezależność. Czy system przez nas przyjęty zapewni nam te rezultaty na dalszą metę, przepowiadam niepotrafię. Lecz jeśli niezapewni, to ani wątpię, iż będziemy zmuszeni zaprowadzić jego zmianę. Niemogę również uwierzyć, by inne narody, by nawet nasze kolonie zechciały naśladować nasz obecny system, gdyby przez to miały ucierpieć ich własne gałęzie przemysłu, lub ich ekonomiczne energie spotkać się z ograniczeniem.

A przeto wyznaję, iż niewyglądam z zapalem, ani nawet z wiarą i nadzieją, tego millennium i tych złotych czasów, co natchnęły wymowę Remenhama. Widzę przyszłość brzemienną wojnami

i wojennemi groźbami. W szczególności, widzę nasz naród, gwoli jego bogactw, jego potęgi, jego bezprzykładnego powodzenia — napastnym celem zawiści, nienawiści i chciwości wszystkich europejskich ludów. Widzę, jak narody szukają poza granicami swych krajów upływu dla swej wzrastającej ludności, a znajdują każdy punkt ziemi już zajęty przez rasę angielską, już angielską ocieniony flagą. Lecz z tego niebezpieczeństwa, które nam głównie grozi, dobywam też główną nadzieję przyszłości. Anglia — to coś więcej, niż Anglia. Pograżona we śnie, wzmogła się i wzrosła. Na wszystkie lądy wyciągnęła olbrzymie swe członki, które, dziś jeszcze zarodkowe, czekają tylko na bicie jej serca, na jej ducha poruszenie, by przybrać formę i podjąć czynność członków jednego, wielkiego ciała-państwa. Mniemam, iż już duch zaczyna ruszać się, krew krążyć. Nasze kolonie nie na to są, by od nas, jak owoc dojrzały, odpadły; nasze posiadłości innym nieprzypadną panom. Rychlej później naród się zbudzi i zerwie do swego imperialnego posłannictwa. Serca Anglików poza morzami zabiją jednym tętnem z naszymi. A federacya, którą przewiduję, nie jest federacyą wszechludów, tylko federacyą rasy brytańskiej na całym świecie.

Mendoza umilkł na chwilę. Nastąpiła cisza, wśród której spostrzegliśmy zapadający zmrok.

Ukazywały się pierwsze gwiazdy, młody księżyc wschodził na zachodni skłon. Z ciemni poniżej ganku dochodził nas szmer wodotrysku, z dalszego gaju dzwoniło wołanie słowika. Pora i miejscowość musiały wpłynąć na Mendozy usposobienie, bo gdy się znów odezwał, zaczął z innego tonu.

— Taką jest moja wizya — mówił — gdy się puszczam na marzenia. Któż jednak powie, że nie są to tylko czeze marzenia. Jest coś w tem powietrzu nocy, co zmusza do szczerości. Jeżeli mam wypowiedzieć swą myśl najgłębszą, to wyrażę zdumienie nad niezmierną powodzią niewiedzy, nieświadomości, wśród której my, którzy niby to kierujemy sprawami narodów, płyniemy razem z tymi, którymi zdajemy się rządzić. Pozwolono nam, jak dzieciom, położyć ręce na lejcach — ale woźnica jest zakryty, niewiadomy geniusz. My jesteśmy jego stworzeniami — i jego cele, nieznane, spełniają się w naszych walkach, wysiłkach, ideałach. Na widowni, Remenham i ja musimy czynić, co do nas należy, walczyć dzielnie i być gotowymi na śmierć, gdy tłum przechyli wielki palec. Lecz tutaj, w chwili przerwy, niemogę — mówiąc przynajmniej o sobie — niedostrzegać poza kwestyami, które nas dzielą, węzła jednego dla nas przeznaczenia. My przejdziemy, nowe po nas nastąpi po-

kolenie — dla którego nasze ideały będą obojętne, hasła nasze czeze, nasze polemiki niezrozumiałe.

Hi motus animorum atque haec certamina tanta
Pulveris exigui jactu compressa quiescunt.

Proch zapomnienia pogrzebie nasze rozprawy. Czegoś dokonamy, coś spełnimy — lecz nie to, cośmy zamierzali. Może Remenham przyczyni się do urzeczywistnienia mych marzeń, lub ja do urzeczywistnienia jego marzeń — a może ani to się nie stanie, ani tamto. Drogi Opatrzności, które on odgaduje tak łatwo, są dla mnie ciemne. I może właśnie dla tego mam dla niego więcej pobłażliwości, niż on dotychczas miał dla mnie.

Bądź jak bądź, w tej chwili jest między nami zawieszenie broni. Widownia jest próżna, ławy milczące znikają w cieniach nocy. Pod niepewnem światłem księżyca, nadśmiertelne jakieś postacie błakają się po arenie przemijających naszych sporów — one to stoją poza nami i wiodą walkę, gdy nam się zdaje, iż my ją prowadzimy. Gdy my zejdziemy do grobu, one innych ożywią bojowników; gdy nasze nazwiska zapadną w niepamięć, one innym nazwiskom dadzą blask złocisty. Na co nam więc silić się i wołać — jeszcze w tej mroku godzinie? Jedne nas nakrywają niebiosą, te same są nad nami gwiazdy. Co znaczą moje opinie, co Remenhamowe? Tyle, co piana na powierzchni! Wszystkich nas zarówno rwie prąd do wyznaczo-

nego końca. Stańmy na chwilę razem w spokoju i odczuwajmy tego prądu milczącą, nieprzepartą siłę — w chwili tej podajmy sobie zgodne dłonie.

Tak mówiąc, wyciągnął do Remenhama z pewnem błagalnem wzruszeniem dłoń, której tenże, choć nieprzekonany, niemógł odmówić. Było w tem coś teatralnego, nie angielskiego, ale — odniosło pewien skutek. Cały epizod, końcowe zdania i ostatni gest niezrównany pozostawiły mnie z wrażeniem, jak gdyby nad jednym naszych dziejów momentem zapadła zasłona. Jak się to stało, nie wiem — ale Mendoza wykluczył Remenhama, wyraźniej nawet, niż samego siebie, z pola, na którym miała się toczyć walka o zagadnienia przyszłości. I właśnie to uczucie zniewoliło mnie — w gruncie rzeczy trochę mimo mej woli — do wyboru następnego mowcy w osobie człowieka, który w całym naszym gronie zapatrywaniami różnił się najbardziej od Remenhama, a temperamentem od Mendozy. Obrąłem Allisona — dziś groźniejszego, niż był wówczas, lecz i wówczas już znanego z nieprzeblaganego antagonizmu względem obu stronnictw. Na me zaproszenie odpowiedział chętnie, a zaledwie zaczął mówić, zdawało się, że czar ostatniego nastroju prysnął. Zapomnieliśmy o nocnej godzinie marzeń, znaleźliśmy się znów w upalnym polu dysputy.



Wszystko to jest bardzo wzruszające — zaczął Allison — ale Mendoza ścisną dłoń niewłaściwą. Daleko bliżej mu do mnie, niż do Remenhama — i nie tracę wcale nadziei nawrócenia go. On przynajmniej widzi, że charakter każdego społeczeństwa zależy od prawnego ustroju własności; może nawet domyśla się, że nasz ustrój prawny w tej mierze nie jest absolutnie doskonały. Mendoza nieokazuje wprawdzie zbytnej chęci do zmienienia systemu, ale i do tego może przyjdzie z czasem. Bądź jak bądź, niemogę, zanim umrę, wyrzec się nadziei powitania jeszcze w Anglii stronnictwa torysowsko socjalistycznego.

Co innego z Remenhamem. Z nim nie da się już nic zrobić. On zdaje się doprawdy wierzyć, że prawo własności, jak nasz anglikański Kościół, jest jednym ze zrządeń Opatrzności i że, jeśli usunie wszystkie ograniczenia, a to jedno pozostawi, będzie miał w rezultacie to, co nazywa społeczeństwem naturalnem. Ale natura, jak wskazał Mendoza, jest anarchią. Z pojęciem cywilizacji łączy się pojęcie ograniczenia — tak samo z pojęciem socjalizmu. Socjalizm nie tylko nie jest anarchią, lecz jest prawdziwą jej antytezą. Anarchia stanowi metę liberalizmu — gdyby od liberalizmu można oczekiwać konsekwencji. Więc widmo anarchii niepotrzebuje odstraszać nikogo od socjali-

zmu. Pozostaje, co prawda, drugie widmo — rewolucyi. Przyznaję, że ono jest realniejsze. Socjalizm jest rewolucyjny — to pewna; lecz jest nim i liberalizm, a przynajmniej był, póki wogóle coś znaczył. Rewolucya nie równoznaczny z gwałtem. Przeciwnie, gwałt wskazuje na upadek rewolucyi. Pytam was otwarcie: czy ja np. wyglądam na Marata lub Dantona?

Niewyglądał, z pewnością. Przeciwnie; mały, gruby, z klinową brodą i okularami, przedstawiał ciekawą kombinację Anglika z warstw średnich i niemieckiego uczonego. Wybuch śmiechu powitał jego zapytanie — i on sam śmiał się. Dalej jednak mówił już poważnie, sposobem prelegenta. Istotnie, w owym czasie, odczytami głównie prowadził swoją propagandę.

Nie; — prawil — socjalizm jest może bardzo krzykliwy, ale — przynajmniej w Anglii — jestto krzyk tak łagodny, jak głos turkawki. Celem jest, przyznaję, rewolucya — ale metodą jest stopniowe zastępowanie dawnych form nowemi. Chcemy przeistoczyć społeczeństwo prawie bez jego świadomości; prowadzić robotę z dołu w górę, nienarażając zbytnio na szwank stojącej jeszcze budowli. Zmieniając podatkowość, zaprowadzimy nowy rozdział własności; powiększając władzę administracyjnych ciał miejscowych, unarodowimy prze-

mysł. Wszystko to niepotrzebuje wywoływać niespodziewanych wstrząśnień, przejść i zmian nagłych. Owszem, nasz żywotny interes wymaga, aby ich niebyło. Jesteśmy ludźmi wiedzy, rozumiemy dobrze, iż cała budowla społeczeństwa spoczywa na nawyknieniach. Razem przeto z nową organizacją muszą wzrastać nowe przyzwyczajenia, które ją mają podtrzymywać. Nazbyt nagle zmiany wywołują reakcyę. Tego uczą wszystkie rewolucye — tego przynajmniej nauczyli się socjaliści angielscy.

Pozatem jesteśmy zdania, że oparte o kapitał społeczeństwo samo, własnym ciężeniem śpieszy do pożądanego przez nas końca. Z każdą konsolidacyą interesu na wielką skalę łączy się nieodzownie rozwój tych właśnie talentów organizacyjnych, bez których państwo socjalistyczne ani by powstać nie mogło, ani się utrzymać. Jednocześnie zaś, zastąpienie współzawodnictwa monopolem usuwa jedyną przeszkodę, gwoli której siła kapitału niemogła eksploatować społeczeństwa i przekonuje każdego obywatela całkiem dotykalnie, w jego kieszeni, jak potrzebną jest ta publiczna kontrola, od której inne względy mogłyby go odstręczać. W ten sposób kapitalistyczne społeczeństwo przedzie swe własne gźło śmiertne, a nas, socjalistów niepowinno się uważać za jakichś starego porządku morderców — raczej za położniczych, którzy go mają z brzemienia rozwiązać.

To brzemie, oczekiwane dziecię, to będzie spo-

leczeństwo pod hasłem — nie wolności, a prawnego porządku. I tu właśnie różnimy się nie tylko od doktrynerskich liberałów, ale i od tej wielkiej masy przeciętnych, zdrowo myślących Anglików, którzy ogólnie i instynktowo zapatrują się z nieufnością na wszelką ingerencyę państwową. Nieufność ta jest doprawdy anachronizmem. Pochodzi z czasów, kiedy państwo było i niepowołanem i niepopularnem, z czasów monarchicznego lub arystokratycznego rządu, sprawowanego w interesie szczególnych klas lub osób. Lecz demokratyczna rewolucya i wschód biurokracyi zmiotły to wszystko; rząd każdego ucywilizowanego kraju dąży teraz do ideału fachowej administracyi, dozorowanej przez baczną i inteligentną publiczną opinię. Wprawdzie dużo jeszcze pozostaje do uczynienia, zanim ten ideał się urzeczywistni. W niektórych krajach, zwłaszcza w Zjednoczonych stanach amerykańskich, potrzeby fachowego doświadczenia prawie jeszcze nie odczuto. W innych, np. w Niemczech, zamało jeszcze dano pola kontroli publicznej. Dążność jest jednak widoczna, a nigdzie nie jest tak wyraźna, jak w Anglii. Tu przynajmniej możemy z całą ufnością wyglądać ciągłego wzrostu tak zabiegliwości, jak inteligencyi państwowych urzędników. Jednocześnie zaś, przez odpowiedni rozwój maszyneryi reprezentacyjnej możemy bronić się od niebezpieczeństwa nieodpowiedzialnej biurokracyi.

Problem, jak pogodzić administracyjną sprawność z publiczną kontrolą, jest bezwątpienia trudny; jestem atoli pewien, że da się rozwiązać. Nie tu może miejsce, bym wyłuszczył moje własne pojmowanie zawodowego przedstawiciela, ale niech mi będzie wolno coś o tem napomknąć. Przez przedstawiciela zawodowego rozumiem człowieka, naukowo i systematycznie wyrobionego do wypośredkowania rzeczywistej opinii wyborców i do sformułowania jej w praktycznych przedłożeniach. Musi on badać istotne, a nie wymarzone potrzeby swoich wyborców, musi sam znaleźć sposoby zadośćuczynienia tym potrzebom. Przed urną wyborczą taki człowiek stawać nie potrzebuje; pójdę nawet dalej i powiem, że plan ludowych wyborów już się przeżył. Chodzi przedewszystkiem o to, ażeby przedstawiciele zawodowi byli obrani w rezultacie jakiejś próby, jakiegoś probierza ich powołania i sprawności — więc np. egzaminu, lub dobytku ich doświadczenia i zasług — oraz żeby z wyborcami byli w ciągłym stosunku. W szczególności dziś wchodzić niemogę; zmierzam głównie do wskazania, że, kiedy rząd jest w ręku administratorów fachowych, dozorowanych przez zawodowo doświadczonych reprezentantów, wtedy niema powodu obawiać się nieograniczonego rozlewu państwowej sfery.

Rozlew ten będzie oczywiście najprzód ekonomiczny, skoro — jak to dziś ogólnie przyzna-

jemy — całkowity charakter społeczeństwa zależy od jego ekonomicznej organizacyi. Rewolucya, jeśli ma sięgać do głębi, musi zacząć od organizacyi przemysłu; lecz za tem nie idzie, iż na niej ma skończyć. Spotwarza socjalistyczny ideał, kto go zwie materialistycznym, głosi, iż względem wyższych działalności obojętny jest lub wrogi. W pierwszym miejscu, nikt tak nie jest przejęty doniosłością i znaczeniem wiedzy, jak prawdziwy socjalista. Nauka społeczna, na której opiera swoje stanowisko, nietylko stanowi wiedzy gałąź, lecz jego wyznania wiary podstawową częścią jest przekonanie, iż postęp człowieka zależy od miary, w jakiej zdoła zapanować nad przyrodą, a że do zdobycia tej władzy jedyną jego bronią jest wiedza. Również niedorzecznem jest oskarżanie nas o obojętność na etykę. Nasze wzory etyczne nie są oczywiście te same, co burżuazyjnego ogółu; gdyby były, tem samem by się potępiały, bo nowy porządek ekonomiczny wymaga z konieczności nowej etyki. Lecz każdy porządek potrzebuje i wytwarza właściwe sobie wzory, a porządek socjalistyczny nie będzie pod tym względem stanowił wyjątku. My w tej kwestyi powiedzieliśmy sobie prosto, iż o etykę niepotrzebujemy się troszczyć, bo ona rozwinie się sama z siebie w następstwie ekonomicznej rewolucyi. Według bowiem naszego rozumienia historii, czynnik ekonomiczny stanowi o wszystkich innych. *«Mann ist was er isst»* —

jak powiedział Niemiec — moralność, sztuka, religia, wszystkie t. zw. »działalności ideowe« nie są niczem innym, tylko rozmaicie działającymi formami chleba i mięsa. Przyjdą same z siebie, jeśli ich będzie potrzeba, a państwo socyalistyczne nie uwzględni ich ani lepiej ni gorzej, niż dzisiejszy system współzawodniczeń. Bo i tu również zasada fachowego doświadczenia znajdzie swe przystosowanie. Rzeczą będzie państwa, jeśli uzna potrzebę zachęty do tego rodzaju działalności, obmyśleć maszyneryę, która wybierze i wykształci ludzi genialnych odpowiednio do popytu na nich i wyznaczy im ich właściwe sfery działania, oraz dostateczną płacę. Dotyczyć to będzie, mniemam, zarówno sług religii, jak profesorów rozmaitych dziedzin sztuki. Nieradziłbym też socyalistycznemu państwu ustanawiać jakąś jedną formę religii, skoro nie możemy orzec naukowo, która z nich, czy w ogóle jakakolwiek jest prawdziwą. Nieszczędziłbym zachęty wszystkim i każdej poszczególnej, — z pewnemi, koniecznemi ograniczeniami — ufając, iż z postępem czasu, drogą naturalnego doboru ta religia przetrwa, która najlepiej odpowiada nowym warunkom.

Tymczasem jednak wyższość nowej organizacji nad starą jest widoczna. Niebędzie już mowy o geniuszach, przymierających głodem w norach, o źle lub zbyt opłacanych sługach ewangelii, o uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych wy-

znaniach. Wszędzie zapanuje porządek, prawidłowość i bezpieczeństwo — jak być powinno w ucywilizowanym państwie — społeczeństwo będzie mogło, raz pierwszy w dziejach, dobrać najobfitszą miarę dobrego z onych dziwnych i nieprawidłowych organizacyi ludzkich, których dotychczasowy byt jest tak trudny, a wydatność tak zmienna i niepewna. Państwo socjalistyczne porozkłada w odpowiednich przedziałkach, jak w biurku (jeśli tak wolno powiedzieć) — religię, literaturę i sztukę; te zaś, jeśli rzeczywiście są funkcyjami normalnymi i owocnymi, wyjdą na tem — tak samo, jak inne funkcyje — najlepiej.

Zaznaczyłem w zarysie główne punkty planu socjalistycznego — rewolucyę ekonomiczną, dokonaną stopniowo, przejściowo i spokojnie, a zaczynającą system kolektywizmu tak kompletny, że w nim się pomieszczą wszystkie istotnie wartościowe, ludzkie działalności. Co mi atoli przychodzi trudno do udzielenia słuchaczom, nieprzygotowanym przez lata studyów, to owego zapału, lub raczej powodów zapału, jaki nas ożywia. Podczas kiedy wszystkie inne stronnictwa polityczne pełzają w ciemnościach po omacku, posiłkując się stronnictwami i zwietrzalymi formułkami, w które dziś już same nie wierzą, my jedni krocymy za białego dnia, drogą, której kierunek widzimy jasno i wstecz i naprzód, do wyraźnej na widnokręgu mety.

Przewodzi nam historia i analiza; historia, po

raz pierwszy, dziś dopiero zrozumiana; analiza, po raz pierwszy naukowo przystosowana. Różni w tem od poprzednich rewolucjonistów, natchnienie czerpiemy nie z naszych własnych intuicyi czy ideałów, jeno ze stwierdzonego biegu rzeczy. Współdziałamy z wszechświatem — stąd nasza pewność i cierpliwość. Stać nas na cierpliwe wyczekiwanie, bo siła wypadków sama z siebie rwie nas i porywa do pożądaney przez nas mety. Nawet kiedy opuszczamy wiosła i spoczywamy, płyniemy naprzód; jeśli bieg nasz na chwilę się zatrzymuje, widzimy, że prąd, który nas spotkał, jest tylko miejscowy. Sami jedni wśród polityków mamy wiarę — tylko nasza wiara jest zbudowana na wiedzy i dla tego przetrwa.



Na tem Allison zakończył. A prawie zanim skończył, MacCarthy, nieczekając na moje wezwanie, zerwał się na nogi i wybuchnął namiętnie. Oczy mu błyszczały, gestykulował energicznie, gdy irlandzkim akcentem, który dla nas miłą stanowił sprzeczność z codopiero usłyszanaą mową — wygłosił rzecz swoją.

— Boże mi przebacz — zawołał — iż kiedykolwiek zwałem się socyalistą, jeśli to jest, co socyalizm znaczy! Ale, nieprawda! Stanę w obronie

wyrazu! Zwróćę mu jego dawne, szlachetne znaczenie — socyalizm, świata marzenie — światło świętego Gralu — na bagnach, mistyczny gród Sarrasu, dolina Awalonu! Socyalizm, dusza wolności, węzeł braterstwa, pieczęć równości! Któż śmie świętokradzką ręką poważyć się na naszego Ariela, by go ująć i uwięzić w onem drzewie nieprawości — państwie? Dzień nie jest tak dalekim od nocy, ani Dobro od Złego, jak socyalizm wielkiej rewolucyi od socyalizmu biura i fotelu, od tego wroga, który nasze przywdział szaty i naszym się chęłpi znakiem! Wiek cały walczyliśmy o wolność — a teraz chcą z nas uczynić strażaków, pętających własne swoje dusze!... 1789, 1830, 1848 — czy lat tych cyfry na to się na sercach naszych wypaliły, aby nas po nich poznawano, jako cierpliwe owce w biurokracyi trzodzie? Nie! Cyfry te — to symbole ducha; a ci, którzy się niemi znaczą, wygnańcy z królestw tego świata, a Bożego królestwa obywatele, są, gdziekolwiek chodzą, jako żywe płomienie, na zniszczenie instytucyi i ustaw, ku zapaleniu w ludzkich sercach ognia litości, gniewu i miłości. Naszego miasta nie zbudowały niebieskie Księgi, ani mu kancelaryjne prochy niedały cementu — niezwiązały go w jedno węzły czerwonych taśm biurokratycznych. Nie! zbudowało go niewymuszone zrzeszenie wyzwolonych duchów, dążenie wiekuiście rozradowanej duszy do objawienia się w zewnętrznej formie.

Mac Carthy przerwał i zdawał się zbierać myśli; potem spokojniejszym tonem tak ciągnął dalej:

— Socjalizm i anarchia, to jedno! Anarchia! Wiem, jakie trwogi budzi ten wyraz, lecz trwogi to są złego sumienia — bo tylko porządek, oparty na bezprawiu drży przed nieporządkiem. Dla czego się trwożycie o swe mienie i życie, wy, którzy się boicie anarchii? Dla tego, bo pierwsze zdobyliście drogą kradzieży, a drugie zmarnowaliście; bo w rezultacie waszych ustaw stworzyliście człowieka, którego zowiecie zbrodniarzem; bo spłodziliście głód, a głód płodzi wściekłość. Nie na was składam za to winę, jak jej nieskładam na samego siebie. Jesteście sami ofiarami systemu, który zachowujecie, a wasz wróg — tak samo, jak mój — gdybyście tylko wiedzieli, to rząd! Bo rząd, to przymus, wyłączność, odróżnianie, rozłączanie — podczas gdy anarchia, to wolność, zjednoczenie i miłość. Właśnie dla tego, iż się podzielamy na narody, cierpimy ciemnośćwo militaryzmu; odosobniamy się, jako jednostki — więc ustawowej szukamy opieki. Gdybym niezabierał bratu to, czego on potrzebuje, nieobawiałbym się, by mi on to zabierał; gdybym niezamykał oczu na jego potrzeby, uważałbym je za swoje własne. Wszyscy ci, którzy sprawują rządy, są ludźmi, stojącymi od innych na uboczu. I dla tego, czy chcą, czy niechcą, są ciemieczkami — a przynajmniej stoją na zawadzie. Niedostępni dla tchnienia masowego instyn-

ktu, które jest technieniem życia, nie są zdolni czuć i myśleć, jak powinni. A bądź co bądź, jakżeż, nawet przy najlepszej woli, mogą zdawać sobie sprawę z przeróżnych interesów, które się dostały do zakresu ich władzy? Człowiek to tylko rozumie, czemu sam się oddaje; w każdym dziale pracy ci tylko potrafią przewodzić, którzy są sami pracownikami.

Rząd wiecznie bankrutuje — nietylko umysłowo ale i moralnie; co zaś nazywamy rządem reprezentacyjnym, nie jest lepsze od innego, bo rządzący są zawsze zarówno oddaleni od rządzonych wiedzą i sympatją. Przecież doświadczenie dowodzi — byleśmy tylko chcieli przyznać — że w żadnym systemie nie są rządzący tak nieudolni i przedajni, jak w t. zw. systemie demokratycznym. Czyż samego wyrazu »polityk« nieużywa się dziś z przekąsem? Czyż biuro rządowe niejedno znaczy dziś wszędzie z nieudolnością i lenistwem? Jakaż to mizerna jest pozycja członka parlamentu, zmuszonego głosować w niezliczonych sprawach, o których niema elementarnego wyobrażenia — a głosować z polecenia partyjnych przywódców, którzy sami są narzędziami ślepego i bezmózgowego mechanizmu kliki! Lud jest w niewoli u swych przedstawicieli, przedstawiciele u prowodyrów, a ci stanowią bezsumienną maszynę! I to ma być ostatni wyraz nauki rządzenia! O boski duchu człowieka,

jakimi skrępował się łańcuchami — i mówisz o wolności i bijesz w ręce z radości!

Przychodzi wtedy ktoś i mówi: «ponieważ jesteście wolni, zacieśniajcie sobie sami pęta coraz bardziej!» Czy nie wasze to ręce ściągają węzły? Czegóż się więc boicie? Oto jeszcze jeden członek wolny: wiążcie go! Jeszcze możecie ruszać głową: nuże, pakujcie ją w śrubę! Ot, teraz dobrze! teraz już niemożecie się ruszać! Jak to ładnie, jak porządnie, jak bezpiecznie!

I to ma być socjalizm! Ażeby do tego doprowadzić, otwarła Francya tamy, które świat zalały krwią! A co? Zerwaliśmy żelazne okowy na to, abyśmy się obwiązali szczelnie czerwonymi tasiemkami! Odebraliśmy koronę Napoleonowi, ażeby nią ukoronować... ukoronować...

Tu mowca spojrział na Allisona — i nagle się zatrzymał. Potem, próbując tonu profesorskiego, ciągnął znów dalej:

— Jedno tylko jest z tego wyjście: rozszerzenie wolnego współdziałania na każdym polu działania, włączając i te, na których dziś stanowi państwo. Powiecie, że to niemożliwe. Dla czego? Przecież tą właśnie metodą kierujecie się już we wszystkim, co was najbliżej obchodzi. Najswobodniejsze działania w społeczeństwie, w którym żyjemy, są działania sztuki, wiedzy i rozrywki. A te wszystkie są, niepowiem kierowane, ale uwydatnione przez ochotnicze organizacje, kluby, akademie, sto-

warzyszenia i t. p. Królewskie Towarzystwo i Klub Brytańskiego Stowarzyszenia¹⁾, to wzory właściwej w tej mierze organizacyi — którą należy zaprowadzić na wszystkich innych polach. Każdy zarobkowy zawód i interes powinien zostawać pod wodzą i opieką stowarzyszenia, swobodnie utworzonego z pomiędzy wszystkich, którzy chcą się im oddać; stowarzyszenie wybierać ma i usuwać swoich własnych urzędników, stanowić o swoim rządzie i w dowolnym układzie współdziałać z innymi, podobnymi ciałami. Faktycznie ścisły związek takich stowarzyszeń, doskonale urządzonych, a wykluczających wszelki przymus, oto kształt społeczeństwa, o jakim marzę i jakiego wzrost już dostrzegam pod twardą skórą starych organizmów. Będą tam regulaminy, bez żadnych ustaw — regulaminy, które znajdą chętne posłuszeństwo, bo będą przyjęte dobrowolnie i bo nikt nie będzie zmuszony pozostać w braterstwie, które je pochwała i zachowuje.

Anarchia nie jest bezrządem — jest bezprzymusem: jest dowolnym rozlewem ducha w formach, jakie sobie najlepiej upodobał. I tylko w takich formach, rosnących z biegiem czasu i zmieniających się, może ten duch znaleźć swój wyraz,

¹⁾ Oba te ciała działają w zakresie podobnym, acz nierównie szerszym, jak nasza Akademia Umiejętności. Pierwsza istnieje od r. 1645, drugie od 1831. (Przyp. tłum.)

który niebędzie niewolą. Powiecie, że to czcza chimera. Ależ pytajcie dziejów! Weźcie pod uwagę wielkie czyny średnich wieków! Nie byłyż one rezultatem właśnie takiego ruchu, jaki opisałem? Ludzie to byli, dobrowolnie się zrzeszający w gminach, grupujący się w cechach, którzy pobudowali zamki i kościoły, przyozdobili je cudami sztuki, jakie nas dziś jeszcze olśniewają we Włoszech i Francyi. Historia wzrostu państwa, władzy publicznej i przymusu jest historią upadku od Florencyi i Norymbergi do Londynu i Nowego Jorku. W miarę, jak rośnie władza państwowa, osłabia się ducha energia; jeśli kiedykolwiek ideał Allisona się ziści, jeśli działanie państwa rozciągnie się kiedykolwiek do wszystkich działów i dziedzin życia — to ów dobrobyt i powszechna wygoda, które tym sposobem mają stać się udziałem całego społeczeństwa, zostaną drogo okupione — kosztem duszy. Mieszkańcy miast mieć będą najlepszy pokarm, najdoskonalsze mieszkanie i odzież — ale... ale będą to tylko trupy.

Oh — zawołał — gdybym mógł wam otworzyć oczy i przekonać was, że cały ten wasz dzisiejszy system jest sztuczny i zbyteczny! Ale nas omamiają systemy, którymi sobie ludzimy wyobraźnię — i to nazywamy wiedzą. Tak nas dobrze nauczono widzieć w historii bieg konieczny, że dziś nam się zdaje, iż to jest bieg dobry; że wszystko, co było, tak właśnie miało być, jak

było — a nie inaczej. W ten sposób usprawiedliwiamy wszystko w przeszłości i czasach obecnych, mimo że to wszystko jest w rażącej sprzeczności z naszą własną intuicyą. A przecież są to tylko czeże majaczenia mózgu! Wiercie mi, historia — to, w największej części, jeden bezmierny błąd, jedna bezmierna zbrodnia. Powinna była inną być, niż jest — i my powinniśmy być innymi, niż jesteśmy. Naturalnej i nieuniknionej ewolucyi ku dobremu niema; niema innego z wszechświatem współdziałania, jak w potakiwaniu jego zbrodniom. Trzeba zburzyć ten domek, który buduje mózg, by w nim ukryć swą własną słabość, jeśli chcemy stanąć oko w oko z prawdą i iść za tem, co dobre. Wtedy dojrzymy, wśród jakich to burzliwych rozpętań wichrów i słoty, wśród jakich to ciemni żywiołów wrogich czy obojętnych leży dla nas droga poprzez gór stropy i szczyty ku miastu naszego pożądanja. Wtedy — i tylko wtedy — zrozumiemy rewolucyi ducha.

Że są rzeczy tak już złe, iż tylko ogień może je zniszczyć; że są przeszkody tak olbrzymie, iż tylko dynamit może je rozsadzić i usunąć; że dzieło zniszczenia musi z konieczności wyprzedzić dzieło tworzenia — skoro w ten tylko sposób padnie twierdza, w której leży więziony duch; że w tem dziele sam duch jest jedynym działaczem, niewspartym przez żadne siły przyrodzone, przez żadne nadprzyrodzone — to stanowi wyznanie wiary —

nie, niepowiem wyznanie, ale intuicyjny obraz, widzenie, które nas, dzieci Rewolucyi, trzyma przy życiu. Przez nie osiągniemy zwycięstwo. Atoli, czy zwyciężymy, czy nie, już samo nasze życie jest zwycięstwem, bo życie to jest z ducha i w duchu. Skruszyć okowy materialne, by tem bardziej zacieśnić węzły duszne; odrzucić wyschłe łuski, by wyzwolić żyjące formy; znieść instytucye, by wywołać energie: zwlec się ciała materialnego, a przywlec duchowe — oto, czy językiem walczyć będziemy, czy mieczem, inspiracya naszego ruchu. Takie i takie jedynie jest prawdziwe, najgłębsze znaczenie anarchii.

Utożsamia się anarchię z terrorem. Niebędę do tyła obłudnym i nikczemnym, żebym przeczył, iż gwałt musi należeć do środków naszego działania. Siła jest społeczeństwa położniczym — niebyło bez niej nigdy żadnej zmiany radykalnej. Co z miecza przyszło, miecz musi zniszczyć; gwałt tylko może gwałtom położyć koniec. Pójdę dalej i wyznam — skoro, jeśli gdzie, to tutaj możemy mówić otwarcie — że właśnie do gwałtu czuję się powołanym i że umrę, jak żyłem, czynnym rewolucyonistą. Ale z tego, że siła jest środkiem, środkiem niezbędnym, moim środkiem, niewywodzę bynajmniej, iż innych środków niema. Gdyby życzenie nie było daremnem, wołałbym życzyć sobie, abym był poetą, lub świętym — i służył temu samemu Bogu łagodniejszą ducha bronią. Są anarchiści, co nigdy

nie wygłosili mowy, niemieli karabina w rękę, ludzie, w których my uznajemy dusze bratnie, choć oni nas może nieznają. Wymienię dwóch, nieśmiertelnych: Shelleya, pierwszego wśród poetów, gdyby nie było odeń większego jeszcze — mistyka, Williama Blake'a.

Uchodzimy za ludzi, krwi żądnych; gnają nas i prześladują po całej ziemi. A któryż z naszych ciemieńców uwierzy, iż pieśń, która nam dzwoni w sercach — w sercach niektórych z nas, a mogę to powiedzieć przynajmniej za jednego — jest najgłębiej natchnionem, najiściej duchowem wyzwaniem, jakie kiedykolwiek padło waszej zgłupiałej, rozdętej, śmierdzącej Anglii:

Bring me my bow of burning gold,
Bring me my arrows of desire,
Bring me my spear; O clouds unfold!
Bring me my chariot of fire!

I will not cease from mental fight,
Nor shall my sword sleep in my hand,
Till I have built Jerusalem
In England's green and pleasant land¹⁾.

¹⁾ Podajcie mi łuk mój płomiennie-złocisty, moje mi dajcie strzały upragnienia, podajcie włócznię; o chimury, rozsunicie się! wóz mój ognisty ześlijcie! Niezaprzestaną myślowej walki, ani mi w dłoni nie zgnuśnieje miecz, póki na zielonej, rozkosznej ziemi Anglii nowego niezbuduję Jeruzalem. (Blake, poeta, malarz, rytownik, 1757—1827).

Anglii! Nie, nietylko w Anglii, ale w Europie, Ameryce, w całym świecie! Gdzie tylko żyje człowiek, nowy Człowiek, tam nasza ojczyzna. Ale Człowiek nowy pogrzebany jest w starym — a gdziekolwiek wije się i walczy w swym grobie, gdziekolwiek się odzywa i daje znaki życia, tam my jesteśmy, gotowi go wyzwolić. Kiedy straż śpi, w przedświtu ciszy wstaje ukrzyżowany Chrystus. A anioł, siedzący u grobu — to anioł anarchii.



W ten sposób, nagle, zakończył MacCarthy swą nadzwyczajną przemowę, której niepowtórzyć słowem pisanem. Nastąpiło długie milczenie, znaczone tylko szmerem ukrytego wodotrysku i narzekaniem słowika. Już była noc; księżyc zaszedł, niebo roziskrzyło się gwiazdami. Jedną wśród nich planeta płonęła czerwono — wprost naprzeciw mnie; zauważyłem, że mój sąsiad, Henry Martin, wzrok miał na nią wpatrzony. Tak się w myślach zagubił, że nie od razu dosłyszał, kiedy go zapytał, czy chciałby z kolei zabrać głos. Zgodził się niebawem — a kiedy powstał, niemożem niepodziwiać, jak nieraz poprzednio, dziwnej piękności jego twarzy. Dzieła, jakie wydał, nieświadczą dostatecznie, mojem zdaniem, o jego wartości; suche są, zimne i akademickie. A nic z tego niema w samym człowieku. Niema

nadeń ducha żywszego. Żywość ta, rzeskość, skwapliwość przebijała z całej jego wyniosłej postaci, z błyszczących oczu, nawet z bujności jego już siwiejącej brody. Skupił się na chwilę w milczeniu, z wzrokiem jeszcze utopionym w czerwonej gwiazdzie — potem zaczął, jak następuje:

Jeżeli prawdą jest, co twierdzą niektórzy mistycy, że świat jest wynikiem antagonizmów między istotami duchowymi, mającemi siedziby swe na przeciwległych kresach niebios, to mniemam, że MacCarthy i ja musimy właśnie przedstawiać taką parę przeciwieństw i obracać się na antytecznej huśtawce przez cały cykl doświadczenia. Ja może jestem ową jego wieszczą, Blake'a, Urtoną, a on Uryzenem, lub przeciwnie — bo i to być może, a trudno wiedzieć. Ale za tem przeciwieństwem nieidzie, przynajmniej u mnie, wrogość. Sięgając wzrokiem do jego części niebios, mogę się łatwo domyślać, jak szczytnem musi być przeznaczenie płonąć tam i promienieć — tak czerwono, tak pysznie i wspaniale. Moje własne światło jest w porównaniu blade, nie więcej jak błękitno-zielone; a przecież i ono jest niezbędne: gdyby go niebyło, tamto groziłoby światu pożarem, spalaniem.

Mówię w przenośniach, bo chcę skutecznie, jak mogę najłagodniej, konieczne — a z natury swej tak nagłe i zimne — przejście od proroka

do krytyka. Ty, panie gospodarzu, powołując mnie do zabrania głosu, wiedziałeś, coś uczynił. Wiedziałeś, że gwoli temu powołaniu, Wodnik ma wylać swe wiadro na Marsa. A Mars, mam nadzieję, zechce mi przebaczyć, jeśli rozkazu usłucham.

Od wszystkich poprzednich mowców różnię się tem, że jestem z powołania sceptykiem — i uważam to powołanie za szlachetne. Są ludzie, którym się zdaje — a może nawet niema nikogo, komuby się niezdawało — że działanie jest jedynym życia celem. Krytycyzm jest ich zdaniem rodzajem choroby, której niektórzy ludzie podlegają i która może w nadzwyczajnych przypadkach stać się łatwo śmiertelną. Mniemają, z drugiej strony, że prawdziwie zdrowym jest entuzyasta — człowiek wierzący, nigdy niewątpiący. Otóż, że taki stan jest szczęśliwy, chętnie przyznaję; nieprzyznaję atoli, by to był stan zdrowia. Jakżeż miałby być, jeśli mu brak zdrowej, intelektualnej podstawy? Tej zaś podstawy nieosięga się, nigdy się nieosiągnie inaczej, jak drogą krytyki — a każda krytyka zawiera w sobie i płodzi powątpiewanie. Człowiek, który nigdy nieprzeszedł — powiem nawet, który bezustannie niepowtarza procesu krytycznego, niema do swego zapалу żadnego prawa. Bo zapal ten zdobył kosztem znieczulenia swego umysłu przez namiętność — a to, twierdzą, jest złe i nieprawidłowo. Twierdzą, że to jest złe i nieprawidłowo samo w sobie, całkiem bez względu na możliwe

stąd następstwa, boć najpierwszym obowiązkiem jest szukać prawdy, a unikać fałszu. Lecz i z dalszego poglądu na następstwa przychodzi mi bardzo poważnie powątpiewać, czy jest racya w ogólnem mniemaniu, jakoby skutki entuzjazmu były zawsze przeważnie, jeśli nie całkowicie, dobre. Biorąc pod uwagę np. dzieje religii, nie mogę twierdzić, że usługi, jakie oddała, przewyższają wyrządzone przez nią krzywdy. Chrystus, największy, mojem zdaniem, i najtrzeźwiejszy z entuzyastów, zapalił ogień Inkwizycyi i w Rzymie postawił papieża. Mahomet zalał świat krwią i osadził nad Bosforem Turka. Św. Franciszek wytworzył armię krzepkich żebraków. Luter wydał trzydziestoletnią wojnę.

Krytycyzm byłby powstrzymał tych ludzi — a czy świat byłby na tem gorzej wyszedł? Wątpię. Byłoby było mniej żaru, lecz może więcej światła. A ja przynajmniej wolę światło. Nieprzeczę, iż intelekt bez namiętności może być bezpłodnym, to atoli pewna, że namiętność bez intelektu jest szkodliwą. Skoro zaś te władze, które powinny się jednoczyć, faktycznie wiodą z sobą walkę w wielkim dziejowym pojedynku, stają po stronie intelektu. Jeśli mam wybierać, to wolę być bezpłodnym, niż szkodliwym. Ale mam ambicyę owocnej wydatności — owocnej, przez krytycyzm. To znaczy, niestety, że muszę z konieczności każdemu się narażać. Nie z rozmyślnej złośliwości, tylko

z obowiązku. Powiecie może, że to jeszcze gorzej. Ano, niech tak będzie! Niebędę się już dłużej usprawiedliwiał, podejmę od razu moje niemiłe zadanie.

Powiem przedewszystkiem, że, słuchając głosów poprzednich mowców, nie mogłem niepodziwiać piękna i genialności wzniesionych przez nich budowli — a jednocześnie, usiłowałem, jak to jest moim zwyczajem, doszukać się tychże podstaw. Rezultat moich domysłów krytycznych jest następujący.

Wszystkie polityczne przekonania ceniują się pomiędzy dwiema skrajnościami, które nazwę kolektywizmem i anarchią. Jedna i druga dąży wszelkim kosztem do pewnego celu — kolektywizm do porządku, anarchia do wolności. I jedna i druga ma dla swych zwolenników znaczenie wiary, krzewionej, jako religii. Zaś między nimi mieszczą się owe przeróżne zagody między wiarą a doświadczeniem, ideałem a faktem — zagody, reprezentowane w liberalizmie, konserwatyzmie i t. p. Otóż, miara zapалу jakiegoś wierzenia stoi zazwyczaj w bezpośrednim stosunku do stopnia, w jakim ten zapal jest wolny od pierwiastków empirycznych. Prostota i bezpośredniość — to znamiona każdego namiętnego przekonania. Lecz krytyk, jakim ja jestem, niemoże uwierzyć, ażeby, czy to w polityce, czy na któremkolwiek polu działalności praktycznej, takie proste i bezpośrednie po-

glądy były rzeczywiście i całkowicie prawdziwe. I tak, w kwestyi aktualnej, chcę zwrócić uwagę, że ani wolność, ani porządek nie stanowią same przez się celów dostatecznych — choć stanowią poszczególnie jakąś swego celu część. Pożądana wolność polega na tem, ażeby uczciwi ludzie szukali tego, co jest dobre, w porządku; a pożądaný porządek polega na tem, ażeby uczciwi ludzie szukali dobra w wolności. Zdaje mi się, że taką poprawkę przyjmie i kolektywista i anarchista — że i ten i tamten powie, iż o taką właśnie chodzi im wolność i o taki porządek, jakie opisałem. Ale skoro wolność i porządek, w ten sposób pojęte, zawierają się w sobie wzajemnie, wzajemnie się kształtują, więc różnica między obiema pozycjami przestaje być różnicą celów, a staje się różnicą środków.

Jednakże każdy problem środków jest niestychanie zawity. Rozwiązać tę zawilóść da się tylko — i to bardzo niedokładnie — przez obserwacyę i próbę. Zaś oparte na tej procedurze opinie, jakkolwiek mogą być silne, niemogą być wyznawane z prostotą i siłą religijnej czy etycznej intuicyi. Moglibyśmy ewentualnie przyjąć na tej podstawie pozycyę czy anarchisty, czy kolektywisty — jednakże nie jako entuzyaści, tylko jako krytycy, z całą świadomością, iż polegalibyśmy nie na absolutnej zasadzie, tylko na wypadkowej prawdopodobieństwu.

To więc naprzód chciałem zaznaczyć, że całość tej kwestyi musi być podjętą drogą krytyki, nie zaś intuicyi. Dalej atoli, w świetle krytyki, obie skrajne pozycye nasuwają ogromne trudności i wątpliwości. Szczególnie co do anarchii, trudności te i wątpliwości przychodzą z nadzwyczajną siłą, nawet przy zupełnie powierzchownem badaniu. Anarchista utrzymuje w gruncie rzeczy, że, ażeby ziszczyć ideał sporządkowanej wolności, potrzeba tylko znieść rząd. Niezdoła jednak wskazać żadnego doświadczenia, któreby tę opinię usprawiedliwiało. Twierdzenie jego wychodzi z pojęcia o ludzkiej naturze, któremu zaprzeczają wszystkie znane nam fakty. Bo gdyby ludzie, byle nie było rządu, mogli żyć w raju, to jak wytłumaczyć, że w ogóle z raju wyszli? Nie! nie rząd jest przyczyną wszystkiego złego, a jest nią skąpstwo przyrody i człowieka chciwość. Te zaś obie są prymitywnymi czynnikami, które anarchia, zamiast zniszczyć, tylkoby spotęgowała. Czy podobna uwierzyć, iż rezultat byłby pożądanym? Anarchista może naturalnie odpowiedzieć, że bodaj wszystko byłoby lepsze, niż to, co jest dziś. Pojmuję doskonale, że dusze szlachetne i wrażliwe, że ofiary nieznośnego ucisku mogą dojść do takiego przekonania. Lecz są to chyba przekonania rozpaczy.

Albo, czyż można doprawdy wierzyć — jak zdaje się wierzyć MacCarthy — że w przededniu jakiejś krwawej rewolucyi, która ma wszystkich

właścicieli od razu pozbawić całego ich mienia, humanitarne i współdzielcze instynkty ludzkiej natury funkcyonować będą natychmiast bez zarzutu; że nieskończenie zawile problemy wytworu i podziału rozwiążą się, by tak powiedzieć, same z siebie; że znajdzie się gotowe dla każdej jednostki miejsce, na którym podejmie, co sama zechce; że każda będzie gotową do jakiejś pracy i zadowolę się wyznaczoną płacą; że niebędzie braków ani różnicy między potrzebą a dostawą; i że do tego wszystkiego przyjdzie, nie z mocy jakiejś nowej wiedzy, jakiegoś nowego uzdolnienia, tylko poprostu skutkiem innego rozkładu istniejących pierwiastków? Czy ktokolwiek, czy MacCarthy w chwili spokojnej rzeczywiście wierzy w to wszystko? Czy gotów jest zaryzykować z tą wiarą całe społeczeństwo? Jeśli jest — to doprawdy moje go wiadro niedosięgnie. Zostawiam go przeto, płonącego złowrogo i nieposkromienie — a przechodzę do Allisona.

Allisona płomień jest mniej groźny — i niechciałbym, nawet gdybym mógł, zgasić go całkowicie. Wyznaję atoli, że bardzo pragnę go złagodzić, bo barwa jest dla mnie trochę niesamowita; boję się też, że, jeśli się ten płomień wzmoże, stanie się nazbyt pożarnym — mimo że teraz jeszcze to niebezpieczeństwo niegrozi. Mówiąc bez przenośni, to, co mam przeciw kolektywizmowi nie jest tak fundamentalne, jak to, co mam prze-

ciw anarchii, ani niepochodzi z braku uznania dla korzyści, mogących być wynikiem słusniejszego podziału życiowych szans¹⁾ — korzyści, które tkwią w pojęciu kolektywistycznego ideału. Niepodzielał — i chyba nikt poważnie myślący niepodzielał — zwykłego uprzedzenia, jakoby w istniejącej organizacyi własności było coś podstawowego, naturalnego i nieodzownego. Przeciwnie, widzę jasno, że ta organizacya jest nierównomierna, że ogromnem ulepszeniem byłoby zastąpienie jej przez system kolektywistyczny, gdyby się dało szczęśliwie przeprowadzić i gdyby nie wystawiało na szwank innych rzeczy dobrych, które mogą mieć

¹⁾ Wyrażenia »życiowe szanse« używam niechętnie, jako niejasnego i trącaącego trywialnym barbaryzmem. Wydaje mi się atoli być z innych, jakie się nasuwały, najtreściwszem i najzwięźlejszem, mimo, że jeszcze dalekiem od trafności i zwięzłości angielskiego »opportunities of life«. W tem bowiem streszcza się doskonale owa wychowawcza idea anglosaska — tak odmienna od kontynentalnych, zwłaszcza od naszych — która każe dbać o rozwój specjalnych zdolności w poszczególnych jednostkach i dla tych zdolności upatruje następnie najstosowniejsze pole działania. Jak więc każda jednostka przychodzi na świat z pewnem do życia i jego zadań, oraz do społecznych celów wyposażeniem, tak — według tej idei, którą szczególnie angielscy socjaliści wysunęli naprzód — społeczeństwa powinno być troską dostarczenie każdej odpowiednio rozwiniętej jednostce właściwych dróg i sposobów do jaknajkorzystniejszego dla niej samej i dla ogółu spożytkowania tego przyrodzonego kapitału. (Przyp. tłum.)

jeszcze większe znaczenie, niż zrównanie sposobności. Nietwierdzę też, iż w państwie kolektywistycznym musi z konieczności przyjść do groźnego osłabienia tej pobudki samolubstwa, w której każdy rozumny człowiek uznaje, do pewnego stopnia, najpotężniejszą sprężynę wszelkiej praktycznej i skutecznej energii. Nie widzę, dla czego państwo nie miało służy swe opłacać odpowiednio do zasługi — jak to czynią spółki prywatne — uzależniać nagrody ambicyi od sprawności. W tej czysto ekonomicznej dziedzinie niema, sądzę, nic niedorzecznego czy utopijnego w socjalistycznym ideale. Mam inną trudność. Nierozumiem, w jaki sposób zdoła zamierzona maszynerya demokratyczna zapewnić sobie urzędników, odpowiednio zdolnych i bezinteresownych, by mógł im poruczyć czynności tak doniosłe i trudne, jak te, które by im zdał ustrój socjalistyczny. W systemie demokratycznym, rząd zaledwie może wznieść się ponad przeciętny poziom uczciwości i inteligencji. Faktycznie bywa wręcz przeciwnie. W Zjednoczonych Stanach np. jest rzeczą publicznie wiadomą, że cała maszynerya rządu, zwłaszcza w wydziałach administracyi wewnętrznej i prowincjonalnej, gdzie czynności ekonomiczne są szczególnie doniosłe, jest wyzyskiwaną przez najmniej skrupulatnych obywateli. Ta dążność musi niezmiernie się zaostrzać w każdym społeczeństwie, w miarę jak czynności rządowe nabierają wagi i znaczenia. Żle

administrowane państwo socjalistyczne byłoby, mojem zdaniem, gorszem od tego, w którym żyjemy — i to w takim samym stopniu, w jakim, dobrze administrowane, byłoby lepszem. A przyznam się, że niewidzę, jakie mogą socjaliści dać rękojmię, że administracya będzie dobrą. Do czczej maszyneryi mam daleko mniej zaufania, niż Allison; jestem przekonany, iż żadna maszynerya nie wyda dobrych rezultatów w społeczeństwie, którego znaczna część obywateli o niczem innem nie marzy, jak tylko o sposobach wyzyskiwania rządu w interesie swym własnym. Tak jest w społeczeństwach istniejących, a niewidzę, jaki cud ma je przemienić.

To moja pierwsza z kolektywizmem trudność. A choć onaby mi nie przeszkadzała popierać — jak faktycznie popieram — oględne, próbne doświadczenia w kierunku praktycznego socjalizmu, przecież niepozwała mi wyglądać kolektywistycznej przyszłości z tą wiarą i pewnością rzeczy, jakie ożywiają Allisona. Pójdę dalej: powiem, iż nikt, kto posiada odpowiednią bystrość umysłową i rozmyślnie jej sobie nie bałamuci, niema prawa do takiej pewności. Pomijając jednak, gwoli dyskusyi, tę trudność i przyznając możliwość uczciwego i sprawnego państwa kolektywistycznego, napotykam na dalszą i jeszcze poważniejszą wątpliwość. Bo, chociaż uważam, iż rozdział szans życiowych, jest w istniejącym systemie skrajnie kapryśny i nie-

równy, jednak przenosiłbym tę nierówność nad najrównomierniejsze urządzenie w świecie, gdyby dawała lepszą rękojmię zrealizowania pewnych wyższych dobrodziejstw, niżby dał system ulepszonej. Mnie też samemu nie jest jasnym — ani niewidzę, jak może komu być jasnym — że kolektywizm daje równie dobrą rękojmię realizacyi tych dobrodziejstw wyższych, jak system istniejący. A to mnie sprowadza napowrót do kwestyi wolności.

Wiem, że o tej kwestyi mówi się niezmiernie dużo obłudnie pięknych rzeczy, niemyszę dodać do nich ze swej strony. Przyznaję, że w istniejących warunkach dla wielkich mas ludności niema jako tako wartościowej wolności, skoro masy te są krępowane na całe życie potrzebami najniższego poziomu. A mimo to widzimy, że z głębi całego tego wiru upośledzeń wychodzili i wychodzą artyści, poeci, uczeni, święci. Zjawianie się tych ludzi zdaje się zależeć od faktu, iż znaczna mniejszość ma władzę stanowienia, na złe czy na dobre, o własnym życiu, władzę pójścia za głosem wewnętrznym nawet mimo olbrzymich trudności — i, może właśnie z powodu tych trudności, a kosztem niewiedzieć jakich cierpień, władzę zrealizowania wielkich dzieł i wielkich żywotów. Wątpię zaś, a raczej niewierzę wcale, by w systemie zarysowanym przez Allisona mógł kiedykolwiek wyjść na powierzchnię jakikolwiek człowiek genialny. Już to

samo, że każdemu człowiekowi karyera będzie wytkniętą, przygotowaną, trudności jego usunięte — że, jednym słowem, otwarta droga będzie zarazem utorowaną — już to samo, mem zdaniem, osłabi, jeśli nie zabije i niezniszczy ducha przedsiębiorczości, wrodzonego ducha awanturniczego, zarówno w duchowym świecie, jak w fizycznym — kiedy od tego właśnie ducha zależy wszystko, co zowiemy, lub powinniśmy zwać postępem. Państwo kolektywistyczne może, co prawda, zakładać i uposażać akademie — czyż jednak wyda kiedykolwiek Shakespeara lub Michała Anioła? Może wszcząć i uprawiać religijną prawomyślność — lecz znajdzie-li miejsce dla reformatora lub świętego? Czy nieprzyszłoby nam opłacić ogólnego zrównania i dobrobytu i inteligencji kosztem zatracenia jedynej rzeczy samej^e, w sobie dobrej — manifestacji geniusza? Niepowiem apodyktycznie, że do tego by przyszło: apodyktycznie niepowiem nawet, że, gdyby i przyszło, to ten argument byłby decydujący przeciw państwu kolektywistycznemu. Ale niepewność jest tak ogromna, że zawahać się przed nią muszę z konieczności — jak, mojem zdaniem, zawahać się musi każdy człowiek szczerzy, nieuprzedzony czy niezaślepiiony naprzód powziętym ideałem.

Ale, jeżeli tym uwagom poświęciłem nieco czasu, nie uczyniłem tego, aby zalecić jakowe własne swoje opinie, lecz raczej, ażeby uwydatnić i uprzy-

tomnić rzecz, od której zacząłem, mianowicie, iż umysł ma swoje prawa, że wchodzi w każdą teorię i że w każdej teorii podkopuje wszelkie pierwiastki czezej, nieracyonalnej lub przeciwracyonalnej wiary; że fakt ten można tylko zamaskować przez świadomą czy nieświadomą, z góry powziętą decyzję niedopuszczenia intelektu do głosu; wreszcie, że taka z góry powzięta decyzja jest wielkim błędem i wielkim złem. Niewstydzę się i nieżałuję, owszem spostrzegam z zadowoleniem sam w sobie, że umysł mój podkopuje z dnia na dzień coraz wyraźniej moje instynktowe wyobrażenia i wierzenia. Jeżeli, jak twierdzono, trzeba wybierać między rozumem a uczuciem ¹⁾, mój wybór padłby na rozum. Tylko ja tej potrzeby niewidzę, bo u mnie i sam rozum jest uczuciem. Życie rozumowe wydaje się ludziom zimnem. Jak mało wiedzą, co to jest być pohopnym na każde zawołanie, targanym przez każdy popęd, a mimo to, jak magnetyczna igła, drgać zawsze ku północy — i nigdy nie być tak wytężonym, nigdy męki i wyprężenia odporu nie być tak świadomym, jak kiedy się jest najnieodwołalniej na osiągnięcie swego celu zdecydowanym! Życia intensywności niemierzy się stopniami wahadłowego drgania. Właśnie

¹⁾ W oryginale »passion«, co może należałoby w tym razie spolszczyć na »uczucie namiętne« w odróżnieniu od »feeling« — poczucie. (Przyp. tłum.)

na najbezzruchliwszym punkcie najpotężniejsze spotykają się energie, a takim punktem jest umysłowość otwarta dla nieskończoności. Do takiej bezruchliwej ciszy czuję się powołanym — gdybym tylko mógł ją osiągnąć. Lecz innych przeznaczenie — jak np. MacCarthy'ego — jest, przypuszczam, odmienne. W nadświatowym świecie dusz, w hierarchii duchów, potrzeba niemniej planety, jak słońca. Położenie i ciężar jednej konstelacji stanowi o ekliptyce drugiej, a antagonizmy, które sprawiają ich odłączność, utrzymują zarazem ich wzajemną sprzęgę. Niema u MacCarthy'ego żadnego gestu, któryby natychmiast nie zadrgał i we mnie — a dokoła mojej bezruchliwości on się obraca. Lecz obaj, on i ja, jesteśmy zawarci w systemie większym i poruszamy się razem w promieniu odległego środka. I samo prawo naszej walki jest to — jak może kiedyś zrozumiemy — gwoli którego miłość przez niezgodność tworzy harmonię.



o mowie profesora Martina zawahałem się, jak dalej postąpić. Wypowiedzieli swoje zapatrywania już wszyscy panowie, bezpośrednio polityką się zajmujący, więc obawiałem się, że dyskusya dalej niepójdzie. Rozglądając się dokoła, przyszło mi jednak na myśl,

że najlepiej będzie poprosić w dalszym ciągu biologa Wilsona. Bo choć jest specjalistą, wszystko u niego jest jego specjalności gałęzią; domyślałem się, że zechce z równą gotowością mówić o rzeczach społecznych, jak o czemkolwiek. Więc, pomimo niechęci, jaką zawsze miałem do pewnej w jego występach arogancji, powiedziałem sobie, że, skoro ma mówić, teraz na niego pora najodpowiedniejsza. Zaprosiłem go przeto do podjęcia wątku dyskusji — i zaraz też jego głos napastniczy zaczął molestować nam uszy.

— Niebardzo jest mi jasnym — rzekł — dla czego w tak podniosłych kwestjach mam przemawiać ja, który jestem tylko przyrodnikiem. Przecież mówią, że polityka jestto rodzaj tajemnicy, której rozumienie bywa udziałem niewielu wyjątkowych ludzi — i to jeszcze nie drogą myślenia, a przez jakąś intuicyę. Lecz w ciągu ostatnich lat coś zaszło, coś się zmieniło. Teorya intuicyjna wystarczała, póki się intuicye nie ścierały, niestawały z sobą w sprzeczności, lub przynajmniej tak długo, jak długo ci, którzy mieli jakową, nie przychodzili nigdy do rzeczywistego kontaktu myślowego z tymi, którzy posiadali intuicyę odmienną. Ale tu, tego wieczoru, zeszlśmy się na tej terasie, napotkaliśmy na zasady najskrajniej przeciwne, ścierające się z sobą w sposób najgwałtowniejszy i — tak się wydaje przynajmniej profanowi — wzajemnie wprost

się druzgocące. Stąd poszła Martina obrona krytycyzmu — obrona, na którą najzupełniej się zgadzam — szkoda tylko, że nie wskazał nam wcale podstawy, na której sama krytyka ma spoczywać. I może w tem właśnie jest powód i racya mojej w dyskusyi kolei. Patrzałem dziś z niemałym zajęciem i — przyznać muszę — bawiło mnie to, jak jeden mowca za drugim mozolnie wznosił po kolei swoją budowlę — na to tylko, by za pierwszym dotknięciem następnego mowcy sromotnie się rozpadła. I dla czego? Z tej odwiecznej przyczyny, że budowali na piaskach.

Otóż co do mnie, ja nie zbudowałem żadnego gmachu, godnego uwagi. Lecz należę do skromnej garstki ludzi, zajętych pracą u rzetelnych, solidnych podstaw — jestem przyrodnikiem. Tylko biologiem — to prawda. Boże broń, bym się miał nazywać socyologiem! Jednakże biologia jest jedną z tresur myślowych, utwarzających powoli ten ogólny pogląd na przyrodę i świat, który stopniowo rewolucjonizuje wszystkie nasze pojęcia społeczne. Zdaje mi się, że politycy tego się bodaj niedomyślają. Dla tego to — jeśli mogę powiedzieć bez niczyjej obrazy — wszystko, co mówią, wydaje się coraz a coraz bardziej tylko niedorzeczną paplaniną. Siły, rzeczywiście rządzące światem, wyszły z pod ich kontroli — a żywe idee tam tylko unoszą się nad wodami, gdzie te pracują siły. Politycy przyrody niebadają: tu mamy

fakt niezwykle, nadzwyczajny. A jednak dzień każdy dowodzi coraz jaśniej, że, albo polityka jest stosowaną wiedzą, albo — szarlataneryą. Tylko, niestety, ponieważ właśnie najważniejsze rzeczy przychodzą do ogólniejszej świadomości najpóźniej i ponieważ tam właśnie nasza ciemnota jest najgrubsza, gdzie nam najprędzej i najusilniej wypada działać, więc też badania nauk politycznych bodaj dziś jeszcze nie są zaczęte. Stąd każde nasze zastanowienie się sprowadza niechybnie bezsilną bezwładność powątpiewań; stąd też ślepa, rozpaczliwa zaciekłość, z jaką szczerzy ludzie rzucają się bezmyślnie do czynu. Stanowisko MacCarthy'ego rozumiem doskonale — jakkolwiek ono jest, mojem zdaniem... jak je nazwać? — godnem ubolewania. Z kwestyi, dziś tu poruszonych, niema bodaj ani jednej, którąby dziś można traktować naukowo. I to powiedziawszy, powinienem może, jako członek nauki, zamilknąć.

I zamilkłbym, gdyby nie to, że długoletnie studia ścisłych nauk dają coś więcej, prócz wniosków pozytywnych. Jest pewne wobec życia stanowisko myślowe, pewne poczucie tego, co ma swoje znaczenie, a co go niema, pewien pogląd na to, coby można nazwać ogólnikowościami życia — co, mojem zdaniem, znamionuje i odróżnia wszystkich ludzi uzdatnionych, a wykształconych w tej tresurze. Boé i my, nawet my, specjaliści, zastanawiamy się nad kwestyami politycznymi, a raczej nad

społeczeństwem — i łącznymi siłami rozwijamy stopniowo pewien kompleks podstawowych zasad, które stworzą podwaliny jakiejś socjologii przyszłości.

Mam wielką chęć wskazać je dziś, tem większą, że są tak obce, odmienne od wielu rzeczy, o których tu mówiono. Prawdę mówiąc, miałem wrażenie w ciągu całej dotychczasowej dyskusyi, jak gdybym się znajdował wśród grobów i słuchał nieboszczyków. Odczuwam więc pewną potrzebę zabrania głosu w imieniu żyjących, w imieniu nowego pokolenia, z którym się stykam. Powiem, jak te problemy, któreście tu poruszyli, przedstawiają się nam — żyjącym w jasnym świetle wiedzy fizycznej.

Więc z góry powiem, że wiek XIX znaczy dla nas rozłam z całą świata przeszłością — rozłam, z którym nie w dziejach ludzkości nieda się porównać. Rozwinęliśmy całkiem nowe władze, a jednocześnie i jednomiennie przyjęliśmy nową wobec życia postawę. O władzach mówić niebędę — dziwy pary i elektryczności stanowią oklepaną treść każdej gazetki. Ale postawa wobec życia, która jest jeszcze ważniejszą, bodaj nie jest dotychczas ani sformułowaną. Postaram się dać wam o niej jakieś pierwsze, ogólne wyobrażenie.

Nowego poglądu pierwszym pierwiastkiem jest ciągłość. My, ludzie nowi, zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że terażniejszość nie jest niczem

innem, tylko przejściem z przeszłości do przyszłości; że żaden wypadek, żaden moment nie stoi w odosobnieniu; że wszystko — i to, co jest kolejne i to, co jest równoczesne, wiąże się w jeden system. Ogólną formułą tego systemu jest przyczynowość. Ale, w społeczności ludzkiej, specyficznie doniosłem zjawiskiem systemu jest łączność kolejnych pokoleń. My, którzy się zastanawiamy, niepatrzymy na człowieka, jako na jednostkę, ani nawet jako na jednego z tego lub owego ciała współczesnych; my w nim upatrujemy przede wszystkim syna i ojca. Innemi słowy, na myśli mamy zawsze rasę — kiedy dotychczas punktem środkowym była jednostka, lub obywatel. Za tem atoli przesunięciem punktu widzenia idzie równocześnie rewolucya etyczna i polityczna. Starożytnym chodziło głównie o utrzymanie pokolenia aktualnego, ich formułą był patryotyzm. Dla Marka Aureliusza, dla stoików, później dla chrześcijan, przedmiotem wszystkich moralnych obowiązków była indywidualna dusza, osobiste zbawienie stało się na długie wieki węgielnym kamieniem etycznej struktury.

Otóż, w świetle nowego ideału, wszystkie teorie, cała nauka i literatura, oparte na tem pojęciu, straciły wszelki z aktualnością związek, wszelkie znaczenie. Jednostki niepojmujemy inaczej, jak tylko jako ogniwo w łańcuchu narodzin. Człowiek bez ojca nie da się pojąć; bez syna jest nieudany.

Dusza jego, jeśli ją ma, jest nierozłączną od swego pochodzenia z przeszłości i swego przechodzenia na przyszłość. Jego obowiązki, szczęście, wartość są związane z faktem ojcostwa — a to samo, *mutatis mutandis*, tyczy się kobiet. Jednym słowem, nowe pokolenie ma całkiem nowy kodeks etyczny, a kodeks, zmierzający tylko do wydoskonalenia rasy. Bo — i to jest drugi pierwiastek nowoczesnego poglądu — łańcuch, serya narodzin jest zarazem przewodem postępu. To właśnie odkrycie daje naszemu pojmowaniu życia jego wesołość i rzeškość. Starożytność umieszczała wiek złoty w przeszłości; średnie wieki przeniosły go do fikcyjnego nieba. Faktycznie, i te i tamta zwątpiły o tym świecie, uważały, że dla niego rady niema, nim się zajmować niewarto — więc charakterystyczną ich filozofią jest konsekwentnie filozofia Dyogenesowej beczki, lub pustelni. Skoro tylko minął pierwszy zapał młodzieńczy, cywilizacja grecka i rzymska zaszła chmurami pesymizmu; chrześcijaństwo go uniknęło w ten tylko sposób, że się schroniło do niebieskiego raję pozagrobowego. My zaś z pomocą wiedzy ugruntowaliśmy postęp. Zwracamy wzrok na przyszłość, na przyszłość zapewnioną, na przyszłość tego świata. Oczy nasze spoczywają na idących pokoleniach, na nich środkujemy naszą nadzieję, ufność i nasz obowiązek. Karmić je, odziewać, kształcić, czynić je lepszymi od nas samych, czynić dla nich wszystko to, czego

dotąd tak skandalicznie zaniedbano, a w tej pracy widzieć i cenić nasze własne życie i zadowolenie — to dla nas, ludzi nowego pokolenia, stanowi nasze zadanie i naszą właściwość.

I to mnie przywodzi do trzeciego punktu w naszym życia szemacie. Wierzymy w postęp; ale niewierzymy, iż postęp jest przeznaczony losem. I w tem również jest nasz pogląd istotnie nowy. Dotąd, władztwem świata dzieliły się pojęcia *Fatum* i *Opatrzności*. My, ludzie nowego pokolenia, nie przyjmujemy ani jednego, ani drugiego. Niewierzymy ani w dobrego Boga, kierującego biegiem wypadków, ani w jakąś moc ślełą, która nimi rządzi niezależnie od ludzkiej woli i mimo niej. Wiemy, że wszystko, co czynimy lub omieszkamy czynić, ma swoje znaczenie. Wiemy, że mamy wolę, że wolą może kierować rozum i że przez rozum wskazaną metą jest postęp rasy. I właśnie ta wiara, to przekonanie odcina nas od przeszłości, sprawia, że przeszłości literatura, etyka, polityka jest dla nas bez istotnej treści, jest dla nas niezrozumiałą. Wiara ta i to przekonanie czyni nas, jednym słowem, czem jesteśmy: pierworodnymi nowego pokolenia.

Otóż, stając na tem stanowisku, zobaczymy, jak wyglądają niektóre z poruszonych tu dziś kwestyi. Związano je głównie z rządem i z własnością. Wnosząc z opinii mowców, zdawałoby się, że dokoła tych dwu czynników obracają się wszystkie

społeczeństwa interesy. Lecz ze stanowiska, na którym teraz stoimy, widzimy jasno, że jest czynnik trzeci, wyraźnie nad tamtymi górujący — mianowicie rodzina. Bo rodzina, to czynnik bezpośredni w produkcji i wychowaniu dzieci, a to, jak widzieliśmy, jest społeczeństwa celem. Od rodziny przeto powinna społeczna przebudowa się zacząć. Jako fundamentalny, etyczny i społeczny aksjomat możemy przyjąć, że każda ludzka jednostka nieuposażona fizycznie, powinna wejść w związek małżeński i wydać przynajmniej czworo dzieci. Jedyna kwestya, jaka się tu nasuwa, jest, czy państwo powinno wkraczać i starać się o takie uregulowanie małżeństw, ażeby zbliżyć wzajemnie do siebie osoby, mogące wydać dobre potomstwo. Wiem, że starożytni w swej lekkodusznej wiedzy powierzchownej kładli na ten punkt duży nacisk. Tylko (i charakterystycznie) zapoznawali tę podstawową trudność, że niewiadomo wcale — niewiadomo wcale nawet dziś, a ileż mniej wówczas! — jakie mogą być konieczne warunki dobrej, małżeńskiej produkcji. Jeżeli do poznania ich kiedykolwiek dojdziemy — a problem jest przede wszystkim naukowy — i jeśli, co przedstawia jeszcze większe trudności, przyjdziemy do dokładnej i wyraźnej wiedzy, jakie specjalne odmiany mamy płodzić i rodzić, wtedy bezwątpienia będzie do życzenia, ażeby rząd wziął na siebie całkowitą regulację małżeństw. Tymczasem musimy ograni-

czyć swoje starania do prostszego i mniej trudnego zabiegu o zapewnienie oczekiwany dzieciom jaknajlepszemu, fizycznemu, intelektualnemu i moralnemu otoczeniu. To zaś da się uskutecznić i bez radykalnej rekonstrukcji prawa własności, poprostu przez pójście dalej drogą, na którą już wstąpiliśmy, więc przez domaganie się wysokiego typu mieszkań, zdrowotności, pożywienia i t. p.

W ten sposób moglibyśmy zapewnić każdemu dziecku od samego początku przynajmniej zdrowy rozwój fizyczny — i to, pozostawiając odpowiedzialność rodzicielską nietkniętą. Co państwo może uczynić ponadto, musi zdziałać przez edukację — która dziś u nas, niewaham się tego powiedzieć, wcale nie istnieje. Posiadamy elementarny system napychania nauką i musztry, prowadzony przez bezduszne automaty, które same z niego wyszły; mamy średnioskolny system atletyki i języków umarłych, pod kierownictwem układnych amatorów; wreszcie system uniwersytecki, który — ot, wolę o nim niemówić. Chcę tylko wskazać, że w przekonaniu nowego pokolenia, chów dzieci¹⁾ i edukacja, to dwa główne filary społeczeństwa. Wszystkie inne kwestye, nawet własności i rządu, są drugorzędne i tylko jako drugorzędne dają się korzystnie traktować. Weźmy np. własność. Na tym punkcie jesteśmy bez uprzedzeń, zarówno

¹⁾ W oryginale „breeding“.

socyalistycznych jak antisocyalistycznych. Własność według naszego poglądu, jestto poprostu narzędzie do chowu i doskonalenia ludzi. Czy ona zadaniu swemu sprosta najlepiej, gdy będzie w ręku jednostek, lub państwa, albo po części i tu i tam — to dla nas kwestya otwarta, o której postanowi doświadczenie. Zasady niewidzimy żadnej, ani za, ani przeciw jednej czy drugiej alternatywie. Własność nie jest ani przywilejem, ani prawem, ani obowiązkiem, czy to jednostek, czy społeczności. Jest poprostu, jak wszystko inne — jedną z funkcyi w łańcuchu narodzin. Ktokolwiek ją posiada, jakkolwiek jest administrowaną, ma jeden tylko cel: zapewnić każdemu na świat przychodzącemu dziecku dostatniość fizycznych potrzeb, a lepiej wyposażonym jednostkom wszystko, czego wymaga ich przygotowanie do należytego wykonywania wyższych obowiązków społecznych.

A jak własność, tak i rząd jest tylko posiłkowym środkiem. Nas, ludzi nowego pokolenia, nie tak niez dumiewa i takim nie przejmuje wstrętem, jak waga, przywiązywana przez polityków do formułek, które już dawno straciły wszelkie znaczenie. Demokracja, reprezentacja, wiara i zaufanie do narodu czy ludu i t. d., wszystko to jest dla nas czezą paplaniną. Wiadomo przecież dobrze, nawet tym, którzy najchętniej używają podobnych frazesów, że lud sam się nie rządzi, że rządzić się niemoże i że, gdyby mógł, ugrzązłby w strasznem

bagnisku. Faktem jest, iż żyjemy polityczną tradycją, która powstała, kiedy przez rząd rozumiało się rządy jednej klasy, kiedy jeden człowiek lub kilku ludzi eksploatowało resztę w imię państwa — kiedy więc chodziło przede wszystkim o to, ażeby sprowadzić na dzierżących władzę brutalny i bezinteligentny nacisk mas. Cały ruch demokratyczny, mimo że przybrał formę intelektualną pozytywną, był co do celu i zakresu faktycznie negatywnym. Szedł poprostu pod hasłem: niepozwolimy się eksploatować. Dziś niema się czego obawiać, by rząd był ciemieskim, jedyny problem przyszłości jest: jak uczynić rząd sprawnym. Atoli rząd demokratyczny — to nieulega wątpieniu — niebędzie nigdy sprawny. Potrzeba nam, jak słusznie twierdzi Allison, ludzi fachowo przygotowanych i doświadczonych. W jaki sposób ich sobie zapewnić, to kwestya drugorzędna — choć w drugim rządzie niewątpliwie ważna i domagająca się od nowego pokolenia rozwiązania. MacCarthye'go pojęcie anarchii uwłacza — (przepraszam go za wyrażenie) — jego inteligencyi. Społeczeństwa niemożna urządzić, tak samo jak niemożna prząć bawełny, przy świetle przyrody i szlachetnego uczucia. MacCarthy całkiem błędnie pojmuje charakter rządu, gdy sobie wyobraża, iż jego istotą jest przymus. Jego istotą jest kierownictwo — a jakakolwiek jest, czy ma być forma społeczeństwa, kierownictwo powinno spoczywać w ręku mędrców. Przyszłość do-

maga się przedewszystkiem mądrego kierownictwa, naszym zaś obowiązkiem jest przygotować je.

Wskazałem pokrótce, jakie, według mego sądu, będą zapatrywania przyszłości na kwestye społeczne i polityczne — a sąd swój wywodzę z podstaw naukowych. I tem właśnie różni się nowe pokolenie od poprzednich. Dotychczas rządziły sprawami świata namiętność, interes, uczucie, religia — wszystko, tylko nie rozumowana wiedza. Koniec tego ustroju, który górował nad całą świata historią i wycisnął na niej swe znamię, jest już bliski. Dawne wpływy jeszcze wprawdzie istnieją i mają nawet pozory najwyższej żywotności i potęgi. Mielśmy tu dziś tego dowody. Ale pod tymi wpływami wzrasta i dorasta twardy krzew wiedzy. Już przecie spaczył i wyparł ich korzenie; choć jeszcze zdają się rodzić kwiecie — kwiecie w naszych oczach usycha. Nie minie dużo czasu, a w jego miejscu pojawią się nowe i wspaniałe pączki, których przyjście zakończy jedną, a rozpocznie drugą ewolucyjną epokę.

Nic tego niewstrzyma, nic nieodwłóczy. Nam się ani niepokoić niepotrzeba, ani śpieszyć. Nic — tylko w milczeniu pracować u podstaw. Zdaje się wprawdzie, że społeczne miasto wznosi się mimo prac naszych. Stoją w oddali pyszne gmachy, słysząc murarzy, cieśli, inżynierów. Lecz patrzcie! oto w miarę jak powstaje, budowla cała chwieje się

i drży. Domy, za ledwie stawione, padają i zapadają fundamenty, szczyty, wieżycy i kopuły idą w gruzy. Całe świata dzieje, to budowanie śnionego miasta, fantastycznego, jak owo miasto ptasząt, mieniaćcego się jak o zachodzie słońca obłoki. I nie dziw! Bo budowanie jest na piaskach. Jedna jest tylko podwalina skalista: zakłada ją wiedza. Cierpliwości! Do nas rychlej później zbliży się lud, przyjdą budowniczy. Nam przedłożą wielkie plany, które daremnie usiłowali przeprowadzić. My orzekać będziemy o tych planów możliwości, odpowiedniości, nawet piękności. Cezar i Napoleon ustąpią miejsca Comte'owi i Herbertowi Spencerowi — Newton i Darwin siędą do sądu nad Platonem i Tomaszem z Akwinu.



Tak zakończył. Gdy siadał, podano mi kartkę, w której Ellis prosił o głos po nim. Przystałem chętnie, bo Ellis, choć go niektórzy z nas mieli za lekkoducha, miał przynajmniej tę zaletę, że nigdy nienudził. Z twarzą opaloną, kędzierzawą płową czupryną, z błyskiem błękitnych oczu, wysoki, robił dobre wrażenie, gdy wstał i objął nas wzrokiem.

— Wilsona odkrycie — tak zaczął — jest do-
prawdy nadzwyczajne: ojcowie mają dzieci, a dzieci

mają ojców! Dziw, jak świat, niewiedząc o tem, mógł istnieć tyle wieków! Tak to niby naturalne – teraz, gdyśmy się o tem dowiedzieli! Ale to już oczywiście jest prawd wielkich właściwością, że, skoro tylko wychodzą na jaw, wszystkim się zdaje, iż wiedzieli o nich od dawna. Z tego też powodu właśnie jest możliwem, że wielu ludzi niedoceni doniosłości Wilsonowego apodyktu, zapominając, iż jest przywilejem geniusza sformułować po raz pierwszy to, co wszyscy niewyraźnie przeczuwali. Niebądźmy niewdzięczni — zarazem jednak bądźmy ostrożni. Bowiem w ślad za wielkimi myślami idzie chęć do ich praktycznego zastosowania, a tu przewiduję pewne trudności.

Jeżeli dobrze rozumiem radę Wilsona, treścią jej faktyczną jest, iż powinniśmy otworzyć bramy życia na rozcież i starać się, aby wszystkim wchodzącym działało się jak najlepiej. Otóż, mnie się zdaje, że tu właśnie musimy mieć się na ostrożności. Rzecz jasna, że o nieurodzonych jeszcze istotach ludzkich wiemy bardzo mało. Jednakże sądzę, iż, wielce prawdopodobnie, tak samo jak praca, według pojęcia politycznych ekonomistów, tworzą one w całym wszechświecie jedno ruchome ciało, z dążnością do ciężenia wszędzie tam, gdziekolwiek przystęp jest najłatwiejszy i najdogodniejsze warunki. Obawiałbym się ogromnie ściągania... bezrobotnych (że ich tak nazwę) z całego wszechświata, w nienależytym stosunku do tej planety,

jeżeliby im się ofiarowało sztucznie lepsze warunki, niż panują gdzieindziej. To bowiem, jak wiadomo, zemściłoby się na nas samych. Spowodowałibyśmy tylko, by tak powiedzieć, wychodźstwo z dalszych i sielskich okolic, z Marsa lub Księżyca, lub skądniebądź — i suma nędzy i trudności na ziemi byłaby większa, niż kiedykolwiek. W każdym razie, wymagałbym stanowczo — i Wilson zapewne ze mną się w tem zgodzi — jakichś wyraźnych kwalifikacyi. Nieogłaszałbym też zanadto w dziennikach naszej roboty. Bądź co bądź, niech sobie inne planety ponoszą całą odpowiedzialność za swoje istoty nienarodzone; niewidzę, dla czego mybyśmy mieli stać się czemś w rodzaju doświadczalnej stacyi wszechświata dla każdego, komu się może zdawać, że mu na ziemi będzie lepiej. Dla tej również przyczyny, między innymi, nieotwierałbym bram zbyt szeroko. Może też, ze względu na tę uwagę, lepiej byłoby i nadal pozwolić niektórym ludziom niewchodzić w małżeńskie związki. Bądź jak bądź, na upartych kawalerów możnaby co najwyżej nałożyć jakąś pieniężną karę. Wilson wolałby zapewne więzienie za ponowne przestępstwo, a w ostatecznym razie, nawet karę śmierci. Co do tego, nie jestem, wyznaję, całkiem bezstronnym sędzią, bo sam zasługiwałbym z pewnością na tę przykładniejszą karę. Zawsze jednak, jak powiedziałem, w ogólnym interesie społeczeństwa i ze względu na warunki powszechnego, wszechświato-

wego popytu, radziłbym rozwagę i ostrożność. I to jest na razie wszystko, co mam do powiedzenia o tej bardzo zajmującej kwestyi.

Druga rzecz, która mnie w spostrzeżeniach Wilsona zastanowiła, nie jest wprawdzie tak oryginalna, jak odkrycie, że ojcowie mają dzieci, ale jest swoją drogą równie doniosła. Mianowicie oznajmienie, zgłoszone z autorytetem, iż rodzaj ludzki rzeczywiście — jak się tego nieraz domyślano — postępuje. Przypuszczam więc, że to już jest teraz faktem stwierdzonym — inaczejby go Wilson nieoznajmiał. To nam daje przeto możność jakiego takiego orzeczenia, na czem postęp polega. Sądzę, że temu zadaniu zdołam sprostać może nawet lepiej, niż sam Wilson, bo odbyłem niezwykle podróże i korzystałem z nich, by się pozbyć uprzedzeń. Mogę powiedzieć, że nauczyłem się badać całkiem bezstronnie ideały rozmaitych krajów, zwłaszcza ideały nowego świata, które mają być ideałami przyszłości. Chcąc ocenić znaczenie postępu, niemożna, sądzę, uczynić lepiej, jak opisać cywilizację Zjednoczonych Stanów. Bo opisując ją, opisze się całą cywilizację przyszłości, skoro tem, czem jest Ameryka, są, lub będą nasze kolonie — a czem są nasze kolonie, tem i my może kiedyś się staniemy, jeżeli złożymy odpowiednie ofiary, by zachować jedność naszego imperyum. Przypatrzmy się więc, z przedmiotowego punktu widzenia,

jaka się gotuje przyszłość temu naszemu postępującemu światu.

Może jednak, zanim podejmiemy analizę duchowych ideałów amerykańskich, warto wprzód powiedzieć coś o samym kraju. Bo otoczenie ma, jak wszyscy wiemy, nieobliczalny wpływ na charakter. Patrzenie więc na stały ląd amerykański! Jaka jego prostota! jak jest szeroki! jak wielki! jak imponujący w rozkładzie! Pas wybrzeżny, łańcuch gór, płaszczyna, drugi łańcuch, drugi pas wybrzeżny! To wszystko! Przeciwwstawcie różnorodność Europy, jej brak symetrii, jej nieregularność, nieporządek, kapryśność! Już geografie obu lądów zapowiadają różnice ich cywilizacji. Po jednej stronie prostota i rozmiar, po drugiej różnorodność dziur i kątów: tam, ogromne rzeki, bezmierne lasy, nieskończone płaszczyny, powtarzanie się w nieskończoność kilku zasadniczych idei; tutaj, denerwujące przejścia, nowości, niespodzianki, wstrząśnienia — jednym słowem, różnice, już nasuwające na myśl Różnicę. Nawet w swych znamionach fizycznych, jest Ameryka krajem ilości, podczas gdy Europa jest krajem jakości. A jak z krajem, tak z jego produktami. Jak owoce amerykańskie są duże! drzewa jak wielkie! jak ogromne ostrygi! Cóż w porównaniu ma Europa? Sam tylko smak i formę, samą tylko piękność, wytworność, wdzięk! Można by powiedzieć, że Ameryka jest ostatniem, najświeższem dziełem wielkiego Sztukmistrza — (w sa-

mej rzeczy, geologia nam mówi, że jest z łądów najmłodszym) — poczętem w czasie, gdy się był zaczął powtarzać, szerokiem, treściwem, impresyonistycznym, zuchwałem co do miejsc próżnych; kiedy Europa zdaje się przedstawiać jego działalność pre-rafaelską... w bogactwie szczegółów, rozmaitości rysunku, szat, architektury, krajobrazów — w ostrem przeciwstawieniu barw i drobiazgowej dokładności jednostkowych form.

I jaki kraj, taka cywilizacya. Europa jest siedzibą klasowości, Ameryka demokratyzmu. Przez demokratyzm nierozumiem jedynie tylko formy rządu — pod tym względem oczywiście, Ameryka jest mniej demokratyczną, niż Anglia; — rozumiem stanowisko myślowe, które ma w sobie i płodzi Bezróżnicę. Biorę raczej ten wyraz ¹⁾, niż »równość« bo wyraz »równość« zawiera błędne pojęcia i mógłby dać do myślenia, iż jest mowa o społecznej i ekonomicznej równomierności warunków, która w Ameryce tak samo nie istnieje, jak w Europie. Nietylko pod względem społecznym, lecz i pod politycznym jest Ameryka plutokratyczną; jej demokratyzm jest duchowy i myślowy, istotę jego stanowi przeczenie wszelkiej wyższości, wyjąwszy... wyższości bogactwa. Faktycznie, wyższości w Ameryce nieistnieją prawie wcale. Ludzie wszyscy są

¹⁾ W oryginale »Indistinction«, w przeciwieństwie do »Distinction«.

tam inteligentni, wszyscy są sprawni, wszyscy energiczni; a jako te są ich przymioty jedyne, one jedne tylko wzbudzają wśród Amerykanów podziw. Zgoła inaczej w Europie! Jak niezliczone widzimy tu i jak skomplikowane stopniowania! Może za różnaitość języków i ras nie my, do prawdy, jesteśmy odpowiedzialni; ale do niej jeszcze dodaliśmy różnice obyczajów, uczuć, spostrzeżeń, myślowego pojmowania i duchowej intuicyi — nieznanne prostszej i rozleglejszej świadomości Zachodu. Krótko mówiąc, w dodatku do samo przez się rozumiejącego się i fundamentalnie naturalnego wskaźnika zamożności, wynaleźliśmy jeszcze inne, w charakterze swym niedochwytnie i sztuczne; a jakkolwiek szybko może znikną w miarę postępu rasy i wpływowej przewagi Zachodu nad Wschodem, przecież istnieją i trwają, nadają naszej zwietrzałej cywilizacyi charakter arystokratyzmu, t. j. kastowości. W tem wszystkim widzimy, jak zauważyłem, wpływ otoczenia. Staroświatowy inwentarz, przeniesiony na drugą stronę oceanu, naśladuje charakterystykę swej nowej siedziby. Zwlekając się z sztucznych różnic, pojawia się w śmiałej prostocie, szerokiej jak płaszczyzny, burzliwej jak rzeki, bezkształtnej jak góry, cierpkiej jak owoce przybranego kraju.

A jednak, przetwarzając się w ten sposób na obraz i podobieństwo nowego świata, Amerykanie niewzgardzili, owszem posługują się temi zdoby-

czami przeszłości, jakie mogą im się przydać w czekającej na nich pracy. Odrzucili nasze ideały, nasze miary i wskaźniki, lecz u nas zapożyczyli kapitału i wynalazków. W ten sposób mogli — czego przedtem w dziejach świata niebyło — ruszyć do walki z przyrodą od razu uzbrojeni. Jakie zdołali osiągnąć rezultaty materialne, nie potrzebuję mówić — tem mniej, że sami nam o nich bezustannie i szczegółowo opowiadają. Lecz warto zwrócić uwagę na pewien doniosły rezultat w ich życiu duchowem — rezultat, dość ogólnie niepostrzeżony, lub zapoznawany.

Dzięki Europie, Ameryka niebyła nigdy wobec przyrody bezsilną; zatem nie czuła nigdy trwogi; zatem nigdy nieznała religijnej czci; zatem też nie doświadczyła religii. Twierdzenie to o potomkach ojców purytańskich może się wydać paradoksalnem; nieprzeoczam też wybitnego faktu, że Ameryka jest siedzibą tylu sekt — od zwolenników Józefa Smitha do wyznawców pani Eddy¹⁾. Lecz

¹⁾ Pierwszy był założycielem sekty Mormonów; druga, jeszcze żyjąca, założyła sektę powszechną, międzywyznaniową, zwaną »Kościołem chrześcijańskiej Wiedzy«, wiodącą zwolenników drogą religianckiej sugestyi do myślowego optymizmu i odporności na niedomagania fizyczne. »Kościół« pani Eddy, ponieważ obiecuje błogosławieństwa psychopatyczne i terapeutyczne, liczy dziś miliony wyznawców w Ameryce, setki tysięcy w Anglii, dziesiątki tysięcy na stałym lądzie europejskim. Założycielce, która nim rządzi sama

te właśnie zjawiska dowodzą mej tezy. Naród, znający religię w znaczeniu europejskiem — naród, którego korzenie leżałyby w glebie duchowych zartarów, pokus i wizyi w nawiedzanych przez duchy lasach, lub piaszczystych nad Nilem puszczech, w glebie nocnych po klasztorach modlitw, biczowań, żałobnych pieni w rozległych katedrach i cudu Sakramentu, uroczyście zasłoniętego glorią malowanego światła — taki naród nie byłby nigdy przyjął »Wiedzy chrześcijańskiej«, jako religii. Nie! religia jest w Ameryce pasorzytem bez korzeni. Kwestye, które zajmowały Europę od brzasku dziejów, o które wiodła wojny straszniejsze, niż o władzę czy wolność, dla których pościła w pustyniach, konała w celach, cierpiała na Krzyżu i na palnym stosie, gwoli którym wyrzekła się bogactw, zdrowia, dobrobytu, rozumu, życia — te zagadnienia znaczenia świata, pochodzenia i przeznaczenia duszy, zagrobowego życia, istnienia Boga i jego do wszechświatów stosunku — dla Amerykanów po prostu nieistnieją. Są dla nich również nieprzystępne, niemożliwe, jak sfera dla mieszkańców Płaskoziemia. Cały ten rozmiar jest im nieznany. Ich zdrowy i energiczny umysł poprzestaje na sprawach i rzeczach tego świata. Ich religia, jeśli

jedna i despotycznie, przynosi niezmiernie dochody pieniężne. Kto ciekaw, może z niemałym pożytkiem i zajęciem przeczytać o tym »Church of Christian Science« doskonale dziełko Marka Twaina. (Przyp. tłum.).

mają jakową, jest to, co nazywają zdrowomyślnością. Polega na ignorowaniu wszystkiego, coby mogło nasunąć wątpliwość o wartości bytu i ewentualnie sparaliżować działalność. »Jedźmy i pijmy« — mówią z tęgą i szczerą dobrą wiarą, a opuszczają, jako niemający związku i chorobliwy, dodatek: »bo jutro pomrzemy«. Ba! a cóż ma śmierć do czynienia z dwudziesto-czteropiętrowymi domami, z najszybszymi pociągami, najhałaśliwszymi miastami, z najruchliwymi tłumami w świecie i, mówiąc ogólnie, z tem wszystkim, co z rzeczy istniejących jest najogromniejsze, najlepsze i najszybsze? Ameryka zwlokła się z religii — a jak, w dziejach Europy, religia podścielała każdą działalność, tak Ameryka zwlokła się, wraz z religią, z całego europejskiego systemu duchowego życia. Literatura np. i sztuka za atlantykiem nieistnieją. Wiem oczywiście, że Amerykanie piszą książki i malują obrazy. Ale ich książki nie są literaturą, ani ich malowidła sztuką, o ile nie przedstawiają słabego odcienia europejskiej tradycyi. Prawdziwy duch amerykański nie widzi pożytku z takich działalności. I nawet jeżeli, jak od czasu do czasu musi się zdarzyć wśród 80-ciomilionowej ludności, przychodzi na świat jakiś ktoś z artystycznymi instynktami, wypychają go nieodzownie i czempredziej do Europy, gdzie się kształci i nabiera natchnienia i gdzie jedynie może żyć, obserwować i tworzyć. Że tak być musi z natury rzeczy, jest

oczywista, gdy się pomyśli, że duszą sztuki jest bezinteresowna kontemplacya, a duch Ameryki — to przecież pożądlive nabywanie. Wiadomo mi, że Amerykanom się zdaje, iż literaturę i sztukę produkować będą tak samo, jak produkują węgiel, stal i naftę — przez rozumne użycie sprytu i kapitału. Ale w tem sobie samym uwłaczają. Przymioty, które ich czynią panami świata, odbierają im uzdolnienie do lżejszych i mniej poważnych zadań. Dla nich jest przyszłość, królestwo wind, telefonów, samochodów, statków powietrznych. Niech się nieoglądają wstecz, łudzeni zwietrzałemi tradycjami, na staro-europejskie uroki niebieskiego królestwa. Niech sobie powiedzą: *Excudent alii* dla Europy literaturę i sztukę — *tu regere argento populos, Morgane*¹⁾, *memento* i Ameryka niech włada światem przez swe syndykaty i trusty.

Bo to jej prawdziwe przeznaczenie. Że sama je w ten sposób pojmuje, dowodzi stanowczość, z jaką stępiła wszystkie działalności, niemające z niem związku. Wyrzekła się surowo wszelkiej intelektualnej zabiegliwości bezinteresownej. My Europejczycy rozkoszujemy w obrotach umysłowych, jako takich, dostarczamy im przedmiotu li tylko dla zabawy; uznajemy wartość wiedzy dla

¹⁾ Aluzya do Pierpont'a Morgana, króla trustów okrętowych, które obejmują coraz szerzej ruch przewozowo-handlowy na oceanach. (Przyp. tłum.)

wiedzy, cenimy ironię i dowcip. Tego wszystkiego Ameryka niezna. Najinteligentniejsi ludzie na świecie, zakres inteligencji ograniczają ściśle do przystosowywania środków do celów. Nad samymi celami zastanawiać się nigdy sobie niepozwalają — i dla tego, choć liczą i obliczają, nie myślą nigdy, choć wynajdują, nigdy nieodkrywają, i chociaż mówią, nigdy nierozmawiają. Bo z myślą idzie domysłność, z zastanowieniem odkrycie, z rozmową swoboda czasu — a w tem wszystkim jest bezinteresowność, która się niemieści w amerykańskim systemie. Z tego samego powodu, niebawia się: gry przemienili w bitwy — i to w bitwy, w których każda broń jest godziwą, póki jest zwycięską. Amerykańska gra w piłkę nożną pokazuje typ amerykańskiego ducha: krótka, szybka, umiejętna, wytężona, niedopuszczająca spoczynku na boisku, przyjemności zabawy, żadnej ulgi, żadnej łaski — bitwa śmiertelna, tylko w celu zwycięstwa, środkami jakiminiębądź.

Od tak surowo praktycznego narodu niepodobna wymagać, ażeby do uczuć przywiązywał tę samą doniosłość, jaką przywiązują Europejczycy. Uczucie, jak umysł, w opinii Zachodu niestanowi celu samo w sobie. A rzecz to wcale ciekawa, że Amerykanie są jedynym wielkim narodem, który niewydał ani jednego lirycznego poematu miłości, godnego pamięci. I fizycznie i duchowo jest to naród zimny. Jego tyle i tak słusznie podziwiane ko-

biety są równie nieczułe, twarde, jak są olśniewające; błyszczą błyskiem lodu. W ten sposób szczęśliwie usposobieni, potrafią Amerykanie unikać niezmiernej straty czasu i energii, bez której nie ma tworzenia się i zachowania subtelnych stosunków osobistych. Wchodzą, rozumie się, w małżeńskie związki, wydają na świat dzieci, krzewią rasę, ale, powiem śmiało, niekochają, jak umieli kochać Europejczycy; niewyzyskują emocyi, nie analizują ich, i w nich nierozkoszują, a tem mniej są zdolni do wyrażenia ich w obyczajach, ruchach, w epigramacie, w rymach. Stąd dreszcz odrazy, jakim wytwornego Europejczyka przejmuje traktowanie emocyi przez amerykańskiego powieściopisarza. Autorowie silą się na opisanie czegoś, czego nigdy niedoświadczyli i na przeszczepienie europejskiej tradycyi na cywilizacyę, która nieposiada żadnych pierwiastków, koniecznych do tej tradycyi odżywiania i utrzymania.

Po tej pobieżnej analizie amerykańskiego wobec życia stanowiska, może zrozumieliście, panowie, moje założenie — iż daremną jest rzeczą stosować do Ameryki probierze, którymi się ocenia wartość cywilizacyi europejskiej. Amerykanie bowiem, świadomie czy nieświadomie, odrzucili cały nasz wartościowy cennik. I jakież stawili swój własny? Cóż uznają, jako cel? Kwestya jest zajmująca, nad którą w ciągu mych podróży dużo się zastanawiałem. Myślałem czasem, że celem tym

jest zamożność, to znów, że jest nim siła i władza, wreszcie możność działania. Lecz wpadł mi w ręce w Zjednoczonych Stanach poemat, a raczej wierszowany utwór, który mi nasunął nową myśl. Mówię o tem z wielką nieśmiałością, jednak zdaje mi się mocno, że autor utworu ma rację — że istotnym celem, który Amerykanie sobie wytykają, jest Rozpęd¹⁾. W bezustannym ruchu, a ruchu coraz śpieszniejszym, widzą wszystką błogość życia; zaś szczęśliwie odczepieni od filozofii i filozoficznych dociekań, niesuszą sobie głowy kwestyą: Dokąd? Zapytani przez Europejczyków — co się czasem zdarza — o co im chodzi w tym pędzie? potrafią tylko dziwić się rzetelnie i zamiast odpowiedzi, pytać: A wy, po co się śpieszycie? I cóż mogą więcej powiedzieć? Stąd ich wzgarda dla »wolnych chwil«, tak bardzo cenionych przez Europejczyka. Mieć wolne chwile, to u nich znaczy stać bez ruchu; grzech śmiertelny, nie do przebaczenia! Stąd również ich wstręt do zabawy, do rozmowy, do wszystkiego, co nie jest pracą. Razu jednego zapytałem Amerykanina, który mi był opisał rozkład swego pracowitego życia, gdzie i kiedy znajduje czas na rozrywkę? Odpowiedział bez wahania i bez żalu, że nigdzie i nigdy. Jakżeby miał znaleźć? Rozrywka mogłaby tylko działać, jako

¹⁾ W oryginale »Acceleration«.

hamulec, a hamulec przy rozpędzie — to rzecz dla amerykańskiego geniusza nie do pojęcia.

Mówię: dla geniusza amerykańskiego. Ale koniec końców — i w tem leży istota mych uwag — to, czem Ameryka jest, Europa staje się. My, tutaj obecni, z wyjątkiem naturalnie Wilsona, reprezentujemy Przeszłość, a nie Przyszłość. Politycy, profesorowie, adwokaci, lekarze — mniejsza o to, jakim się oddajemy zawodom — w sądach naszych i opiniach kierujemy się starą skalą wartości. Piękno, emocją — cenimy; na zamożność i postęp, o ile nie wiedzą do i nieposiłkują tamtych, jesteśmy obojętni. I dla tego, jak ci, którzy tu przemawiali przedemną, pozwalamy sobie krytykować i podawać w wątpliwość to, co człowiek współczesny, Amerykanin czy Europejczyk, poprostu i bez zastrzeżenia przyjmuje. Daremniebyśmy to sobie wyrzucali, daremniebyśmy nad tem ubolewali; trzeba nam poprostu i przedmiotowo uwzględniać, że w tem wszystkim nie jesteśmy na swoim miejscu. Wszystko, co mówimy, może być prawdą, lecz nie jest wcale do rzeczy. Prawdą — mówi człowiek przyszłości — że niemamy żadnej religii, żadnej literatury, ani sztuki; niewiemy skąd przychodzimy, ani dokąd idziemy; ale — i to ma większe znaczenie — nic nas to nieobchodzi. Natomiast wiemy, że idziemy naprzód prędzej, niż ktokolwiek szedł kiedykolwiek przed nami — i że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, iść na-

przód będziemy coraz i coraz prędzej. Jeżeli co uważamy za bluźnierstwo, to pytanie: Dokąd? Pierwiastkiem świata jest Rozpęd, my jesteśmy jego wyrażnikami; co nie pędzi, zgaśnie; a jeśli niemożemy odpowiedzieć na pytania krańcowe, to tem mniej wypada tego żałować, że z upływem paru stuleci nie będzie już komu o coś podobnego pytać.

Takiem, według mego przekonania, będzie stanowisko przyszłości, zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie. Niepowiem, że mi się ono podoba; ale przewidując je, odczuwam całą oryginalność mego własnego położenia. Radością przejmuję mnie okoliczność, że przyszedł na świat w końcu jednej epoki; że stoję poniekąd u szczytu, akurat przed spadnięciem w dolinę na dole; patrząc wstecz, jednym spojrzeniem obejmuję i streszczam sobie wieki minione. Rad jestem, iż mam takich przyjaciół, jak Sokrates i Platon, Dante, Michał Anioł, Goethe — a nie panów Carnegiego i Pierponta Morgana. Rad jestem, że należę do kraju starożytnego i że zasiadam do stołu z nieomal ostatnimi przedstawicielami długowiekowej kultury, wiedzy, długowiekowych ideałów. Przenoszę tradycyę przeszłości nad tradycyę przyszłości, cenię pierwszą tem bardziej, im większa jej sprzeczność z drugą, z tą, która ma przyjść; a tem jestem spokojniejszy, iż nieodczuwam żadnej odpowiedzialności

względem pokoleń, których ideałów, wzorów i wskaźników nie potrafię wcale oceniać.

Co wszystko oczywiście dowodzi tylko, że nie jestem z tych, których Wilson tak trafnie zowie ludźmi »nowego pokolenia«. Jednakże niemogę powiedzieć, by moje umysłowe spostrzeżenia były zabarwione osobistymi okolicznościami; owszem, mniemam, iż dałem wam jasny i przedmiotowy obraz tego, co rzeczywiście stanowi postęp. I z tą chlubną świadomością, wracam na miejsce.



Koniec tej mowy powitali biesiadnicy wrzawą śmiechu, głośnych pochwał i protestów — w ciągu czego przyszło mi na myśl, że najlepiej byłoby teraz powołać Audubona. Z tej mianowicie przyczyny, że, mojem zdaniem, Ellis, pod osłoną niezwyklej dolegliwości żółciowej, nieco zbyt obuchowo druzgotał doktrynę postępu, ogólnie wykładaną przez społecznych reformatorów. Zaintonował nam poniekąd pierwsze takty Negatywności. Wiedziałem zaś, że Audubon zechce wyśpiewać melodyę do końca i sądziłem, że najlepiej będzie usłyszeć ją od razu w całości, ażeby następni mowcy mogli ją, jeśli im się tak zda, poprawić. Audubon prowadził jakieś interesy w londyńskim śródmieściu, a w jaki sposób został członkiem naszego kółka, niewiem,

gdyż do wszelkich dociekań miał nieprzejeđnany wstęć. Mimo to uczestniczył w kaźdej naszej biesiadzie i mówił dobrze, choć zawsze w tym sensie, że mówić o niczem niewarto. Tak i dzisiaj, z początku nie miał ochoty zabrać głoś, a nawet, kiedy musiał uleć, zaczął charakterystycznie od protestu.

— Nierozumiem, dla czego ma być obowiązkiem kaźdego z nas z kolei przemawiać. Zdaje mi się, że już raz przeciw temu protestowałem —

Tu mu przerwano ogólnym okrzykiem, że nie raz jeden, ale nazbyt często protestował, więc zdania nieskończył. Jednak ton oporny zachował.

— Wy sobie niezdajecie sprawy — ciągnął dalej — z trudności mego położenia, zwłaszcza w dyskusji tego rodzaju. Moje stanowisko jest skrajnie odmienne od waszego, więc cokolwiek powiem, będzie tylko zgrzytem. Wy wszyscy bawicie się w to, co się wam wydaje grą życia — i bawicie się chętnie. Ja zaś bawię się jedynie z musu — jeżeli to można nazwać zabawą, kiedy się jest gnany na boisko bez względu na pogodę czy słotę, bez najmniejszej szansy wygrania. Może gra podobniejsza jest raczej do tennisa: my jesteśmy malcami, co podnoszą piłki — a to, mojem zdaniem, jest dyabelsko upokarzające zajęcie. I nie może być, żebyście chyba wszyscy nie byli tego samego zdania! Tylko, naturalnie, nie-

chcecie się przyznać. Nikt niechce. Na kazalnicach, w prasie, nawet w rozmowie — wszędzie jest spiskowe milczenie i udawanie. Jedynie tylko w rzadkich chwilach, kiedy się kilku mężczyzn zbierze w fajczarni, prawda wyłazi na wierzch. Ale i wtedy wyłazi zawsze z jedną i tą samą zwrotką: po co? na co? *cui bono?* Ja tam o siebie nie wiele dbam; ale jeśli czem się mogę pochwalić, to tem, że nigdy się nie dam oszukać. Jak wczesnie zapamiętam, od najmłodszych lat, zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, czem ten świat istotnie jest. A wszystkie późniejsze doświadczenia potwierdziły onę pierwotną intuicyę. Stąd też dość się wydziwić niepotrafie, że inni ludzie tej intuicyi niemają. Ale doprawdy i bez nieczyjej obrazy, mnie się zdaje, iż powód jest ten, że inni chcą się oszukiwać, a ja nie. Ludzie chcą być wszelkim kosztem szczęśliwi, zajęci czy zaciekawieni, czy jak tam to wolą nazywać. Niepowiem, iż nie są mądrzy w swoim rodzaju. Ale ja jestem inaczej urządzony; widzę rzeczy takimi, jakimi są; widzę, że zrobione są źle — i w tem się różnię od Stworzyciela.

Ano, żeby przyjść do rzeczy, do dzisiejszej dyskusyi i mego wobec niej stanowiska. Wyście trzymali się cały czas założenia, którego naturalnie musieliście się trzymać, że — »jest w ogóle warto« ¹⁾.

¹⁾ Na tę niepolskość wyrażenia pozwoliłem sobie, by jaknajwierniej wyrazić treściwe angielskie: »that things are

Ale, jeżeli niewarto, to na co wszystkie wasze ambicje, wszystkie wasze zapatrywania, wszystkie wasze problemy i rozprawy? Podstawą, co do której wszyscy się zgadzacie, jakkolwiek różnicie się co do szczegółów, jest, że można rzeczy ulepszyć, i że się to oplaci. Lecz jeśli ktoś zaprzecza obu twierdzeniom, to co się dzieje z budowlą? Ja im zaprzeczam — i nietylko to, ale niepojmuję, jakim sposobem mógł ją ktokolwiek kiedykolwiek przyjąć. Bo przecież, gdyby się niepodejmowało tej kwestyi z bezracyonalnej podstawy optymistycznej, to nigdyby człowiekowi nieprzyszło na myśl, iż może być jakowyś postęp w czemkolwiek, co nas rzeczywiście obchodzi. Albo, chyba i my tutaj jesteśmy pod urokiem takich głupich i bez związku faktów, jak telefony i samochody! Ellis rozwiązał tę złudę zapewne dostatecznie, mnie się niechce tracić czasu na jej omawianie. Jeżeli w ogóle mamy oczekiwać postępu, to musimy wyglądać go chyba ze strony ludzi. A ja dotychczas niewidzę wcale, aby ludzie byli ogólnie lepsi, niż bywali; przeciwnie, niebrak, zdaje mi się, dowodów, że są gorsi. Czy tak, czy siak, nawet przypuszczając, że moglibyśmy to i owo nieco ulepszyć — na cóżby się to zdało w świecie tym, jaki jest? Jeżeli cała struktura wszechświata jest zła, na co się zda par-

worth while-; dosłownie: »iż rzeczy są warte czasu« (jakiękolwiek zachodu). (Przyp. tłum.)

laczego szczegóły? Możecie tak samo marnotrawić czas na zdobieniu salonu w tonącym okręcie. Dając na to, że możecie ulepszyć podział własności, podnieść poziom zdrowia i umysłowości i t. d., dając na to, że moglibyście od jutra zaprowadzić wasze rządy socjalistyczne, lub liberalne, albo waszą anarchistyczną współdzielczość, lub co tam niebądź jeszcze — powiedzcie mi, gdzie, jak i w jaki sposób byłoby wam lepiej w czemkolwiek, co rzeczywiście warto?

Główne czynniki pozostałyby niezmiennione. Ludzie np. zawsze jeszcze przychodziliby na świat niepytani, czy chcą, czy niechęć. A już to samo, mojem zdaniem, wystarcza na potępienie całego interesu. Niemogę pojąć, czem się to dzieje, że ludzie niepodnoszą głośniejszego, niż się zdarza, protestu przeciw samej zniewadze, wyrządzonej w tej sytuacji przeciw poczuciu ich własnej godności. I nikt nie na to nieporadzi — ani temu niemożna położyć końca, ani się to nieda postępowo zreformować! Ot, fundamentalny życia warunek — i basta.

Gdyby to było wszystko! Ale to tylko złego początek. Bo okazuje się, że ten świat, na który nas tak »per nogam« wyrzucają, jest nieobliczalny i bezracyonalny. Są oczywiście — wiem o tem — t. zw. prawa natury. Ja jednak — by powiedzieć rzetelną prawdę — wcale w nie niewierzę. To jest, niewidzę powodu, dla czego mam przypusz-

czać, że słońce jutro wstanie, albo że pory roku zachowają w dalszym ciągu swój bieg, lub że którekolwiek z naszych najpewniejszych oczekiwań spełni się w przyszłości, jak się spełniało w przeszłości. Wnosimy z sobą do wszechświata nasze własne uprzedzenia na rzecz porządku, i przyznaję, że wszechświat do pewnego stopnia do nich się stosuje. Ale ja do tego stosowania się niemam zaufania. Istnieje aż nadto dowodów lekkomyślnego i nieobliczalnego kaprysu. Czemuby pozory porządku nie były także kaprysem, lub nawet ostatnim wymysłem obrachowanej złośliwości? A bądź jak bądź, rzeczy, które nas najbardziej obchodzą, burze, epidemie, przypadki, od katastrofy narodzin do wyzwolenia śmierci, niedają się ani przewidzieć, ani żadnym zaradczym uprzedzić środkiem.

Ano — jestto herezya, której, jak się przekonałem, nikt zemną niepodziela. Mniejsza o to! Pozycya moja jest tak silna, że mogę sobie pozwolić na ustępstwa w każdym punkcie. I tak, przypuściwszy, że panuje w wszechświecie ład i porządek, cóż mu z tego? w jaki sposób czyni go to lepszym? Czy raczej nie czyni go to gorszym, iż istniejący na nim porządek wytwarza tylko złe? A jak wielkie złe, niepotrzebuję nawet mówić — boć na jego istnienie zgadzano się z góry we wszystkim, co tu dziś mówiono. Gdyby ten świat był porządny, niepragnęlibyście go wszyscy naprawiać. Mimo to, powiecie — ludzie to zawsze mó-

wią — »jeżeli jest złe, to jest i dobre«. Ależ właśnie to, co ludzie zowią dobrem, bardziej nawet, niż to, co przyznają, iż jest złe, każe mi o świecie rozpaczać. Jak można przy odrobinie poczucia własnej godności przyjmować, a przyjmować z wdzięcznością, wszystko to, co ludzie przyjmują — jest dla mnie nie do odgadnienia tajemnicą.

Największy to chyba jest tryumf Potęgi, która sprawiła wszechświat, że tydzień po tygodniu gromadzą się w kościołach tłumy ofiar, odmawiających modlitwy dziękczynne za »byt, zachowanie, i wszystko tego życia dobro«. Dobro! Jakie? Pieniądze? Powodzenie? Reputacya? Niemyślę wydawać się za co innego, jak za przeciętnie rozumnego człowieka, lecz przyznam się, że w żaden sposób nierozumiem, jak może przeciętnie rozumny człowiek przykładać do tych rzeczy ogólnie im nadawaną wartość. »Ależ — powie moralista — jest przecież obok nich obowiązek i praca«. Cóż jednak stanowi wartość pracy, jeżeli na nie pracować nie warto? »Tak — rzecze poeta — ale jest jeszcze piękno i miłość«. Cóż, kiedy to piękno i ta miłość, to są rzeczy, których nigdy nieznajdzie! Człowiek niby coś znajduje — wyciąga dłoń po to — lecz chwytą tylko cień, nie rzecz samą. A i ten cień mija go i wymyka się mu na rwącej fali czasu.

I tu właśnie jest ostateczny dowód złośliwości ogólnego planu. Przeciw nam sili się i działa sam nawet czas. Chwile złe uwiecznia; chwile, które

mogłyby być dobrymi, pędzi na zatracenie. Wszystko, co tylko jest najcenniejsze, jest najmniej pewne i najchyżej znikome. Daremnie błagamy chwilę: *Verweile doch, du bist so schön!* Tylko godziny smutne wloką się ciężko. Skrzydlata Psyche już w chwili narodzin cierpi agonię śmierci.

To są, przyznacie wszyscy, fakty, nie złudzenia. Czemuż więc ludzie niechęcą patrzeć im w oczy? Albo, jeżeli spojrzą, czemuż odwracają się natychmiast, by świat sobie zbudować jakiś inny? Bo to rzecz ze wszystkich najdziwniejsza, że ludziska wynajdują sobie systemy i że te systemy są optymistyczne! To zupełnie tak, jakgdyby sobie mówili: Co jest, musi być dobre. A skoro oczywiście dobre nie jest, więc trzeba, żeby było rzeczywiście inne, niż jest*. I stąd nadzwyczajne teorie, budzące taką litość, tak wzruszające, tak idyotyczne — o wiecznym, dobrym Bogu, który ten świat zły stworzył, o Absolutum, którego jedyną manifestacją jest Względne, o Realnem, które ma tyle mniej rzeczywistości, niż Zjawiskowe. Albo, jeśli to się wszystko odrzuca, przenosimy nasze niebo z wieczności do czasu i doskonałość, której nam brak teraz lub z przeszłości, projektujemy na przyszłość. »Prawda — mówimy — zły jest świat! ale będzie dobry!« I z tą złudą jedno pokolenie po drugim bierze na plecy ciężar — i idzie... bo gdzieś dalej za puszczą musi być Ziemia Obiecana, do której kiedyś, jakieś niewiadome istoty wstąpią.

Jak gdyby zło przeszłości dało się zniweczyć, lub choć odwetować, przez jakiekolwiek zwycięstwa przyszłe, lub doskonałość jednego mogła wynagrodzić za nieodwołalne znikczemnienie drugiego!

Wystarczy te idee wymienić, by odsłonić ich nedorzeczności. Mimo to, ludzie się ich trzymają. Dla czego? Nieumiem powiedzieć. Wiem tylko, że mnie się te idee niechwytają, chwytając się niemogą; że sprawom tego świata przypatruję się, jak przybysz z tamtego; że z wami obcuje, lecz nie należę do was; że wasze pobudki i cele są dla mnie całkiem niezrozumiałe; że usprawiedliwić ich niepotraficie w żaden sposób, któryby mi przemawiał do rozumu; że niemam klucza do zagadki, którą wy tak łatwo rozwiązujecie z pomocą waszej religii, waszej filozofii, waszej wiedzy; że wasze nadzieje nie są mojemu, nie mojemu wasze ambicje, ani wasze zasady; że jestem rozbitkiem i dokoła siebie samych tylko widzę rozbitków — którzy mimo to, czepiając się desek i drzazg, zowią je dobrymi i prawdziwymi okrętami, rozprawiają śmiało o przystani, do której szczęśliwie żeglują i w samym akcie tonięcia, ostatnim tehem wołają: «ot, przybyliśmy i nasi nas wyczekują nad brzegiem!» Komu w tych warunkach brakuje piątej klepki? Mnie — czy wam? Ja mogę tylko płynąć z prądem i czekać. Być może, iż poza temi wodami jest jakaś przystań i jakieś wybrzeże. Lecz ku nim żeglować niemogę, niemając ani steru, ani

busoli, ani mapy. Wy głosicie, iż macie. Płyńcie więc sobie dalej, ale mnie nieprzywołujcie. Ja muszę zatonać, lub pływać sam jeden. A czego się mogę spodziewać najlepszego, to, że mnie jaknajprędzej pochłonie milcząca czeluść zapomnienia.



Mimo, że już nieraz słyszałem Audubona, wyrażającego podobne uczucia, nigdy jeszcze nie byłem świadkiem tak obfitego z jego strony i tak namiętnego wylewu najgłębszej jego duszy goryczy. Było niewątpliwie coś w warunkach pory i miejsca, co z niego do-
było ten głos osobisty. Bo zaszła już najciemniejsza i jakgdyby martwo najcichsza godzina nocy; siedzieliśmy pod zbladłemi gwiazdami, jeden drugiego prawie niewidząc; tak, iż zdawało się możliwem wypowiadać, jak poza kurtyną, rzeczy, którychby się inaczej niemówiło. Po ostatnich słowach Audubona nastąpiło długie milczenie. Uderzyły wielu z nas może silniej, niżbyśmy chcieli przyznać. To też byłem w kłopotcie, kogo, z tych kilku, którzy jeszcze nieprzemawiali, powołać, ażeby ile możności uniknąć tonu, mogącego zerwać nasz nastrój niepożądanym zgrzytem. W końcu zdecydowałem się na poetę Coryata — pewien, iż od niego nie-
dojdzie nas nuta fałszywa, a z pewną nadzieją, że on może zacznie wyciągać nas, by tak powiedzieć,

z ciemnej otchłani, do którejśmy się dostali. Odpowiedział na zaproszenie z tą nieśmiałością i brakiem spójności w mowie, które zawsze stanowią jego szczególny wdzięk.

— Niewiem (rzekł)... naturalnie... no, tak, może to wszystko jest bardzo źle — przynajmniej dla niektórych ludzi. Co do mnie, niesądzę, że jest źle. Wątpię też, czy Audubon doprawdy... no, ale może tego niepowinienem powiedzieć. Bądź jak bądź, jestem przekonany, że ludzie są po największej części przeciwnego zdania. Przynajmniej co do mnie, znajduję, iż życie jest nadzwyczajnie dobre, życie takie, jakim faktycznie jest — to jest, nie tylko moje osobiste, lecz życie każde; no, powinienem może dodać, z wyjątkiem Audubonowego — a i on nawet może je znajduje raczej dobrem, skoro mu pozwala widzieć w niem tyle złego. Ale z nim się sprzeczać nie będę, bo wiem, że toby się na nic nie zdało. Chcę się kłócić z tymi wszystkimi innymi — wyjąwszy Ellisa, który, zdaje mi się, wie coś o rzeczach, o które rzeczywiście chodzi. Niewie o nich Allison, ani Wilson, ani mała który z tych, co rozprawiają o postępie. Bowiem, jeżeli sobie projektujecie wszystko dobro na przyszłość, to dowodzi, że nieoceniacie, jak należy, dóbr tego życia, jakim i gdziekolwiek ono jest. I to pewna, że musi tkwić jakiś błąd w poglądzie, który z przeszłości i terażniejszości czyni tylko

przejściowy środek do przyszłości. To tak, jakgdyby kto wziął flaszkę, odwrócił ją dnem do góry i wylał z niej wino, niepostrzegając — a potem robił plany niezmiernego ulepszenia kształtu flaszki. Otóż, dla mnie kształt flaszki jest rzeczą zupełnie obojętną. Interesuje mnie natomiast wino. A wiem — i o to właśnie chodzi — że ono tam zawsze jest. Było tam w przeszłości, jest teraz i będzie zawsze — tak, będzie zawsze, mimo was wszystkich!

Powiedział to tak wyzywająco, żeśmy parsknęli śmiechem. Więc zamilkł na chwilę, jakgdyby był popełnił jakąś niedyskrecję; a potem, namyślając się daremnie, jakim mostem dostać się do następnego punktu, zdecydował się skoczyć — i dalej ciągnął, jak następuje.

— Ot, np. Wilson! Powiada nam, że nowemu pokoleniu »na nic« — t. j. niewiem, czy użył właśnie tego brzydkiego wyrażenia, ale taka była jego myśl — że mu na nic Grecy i Rzymianie, albo Średniowiecze, lub wiek XVIII, lub cokolwiek, co nie jest onem samem. Na to odpowiem tylko, że bardzo mi żal nowego pokolenia i żem bardzo rad, iż do niego nienależę. Bo pomyślcie tylko, co za nadzwyczajne zboczenie, a raczej oślepienie! Dla tego, że się niegodzicie z Platonem, albo z Markiem Aureliuszem, lub z Św. Franciszkiem, to już wam się zdaje, że oni warci tylko wyrzucenia na śmieć. Możecie powiedzieć tak samo,

że niemyślicie pić innego wina, tylko dziś zrobione! Literatura i sztuka przeszłości nie mogą nigdy być umarłemi. To flaszka, w której geniusz życia jest trzymany: tylko ją otworzyć, a dostaje się życia. I jakiego życia! Że jest innem, jak nasze, to właśnie stanowi jego wartość. Niechęć powiedzieć, iż jest z konieczności lepszem, ale zachowuje nam rzeczy, któreśmy zarzucili. Jak ludzie przeszłości, tak i my niewyczerpujemy wszystkich możliwości. Cały przedziwny dramat życia rozwija się w czasie; my ludzie tegowieczni stanowimy tylko jedną jego scenę — a ani nie najnamiętniejszą, ani nie najciekawszą. Nas, aktorów, zajmuje naturalnie tylko ta jedna scena. To jednak ciekawe, że jesteśmy zarazem, lub możemy dowolnie być, i widzami. A ze stanowiska widza, niejednen epizod przeszłości jest daleko bardziej zajmujący, jeśli nie daleko donioślejszy, niż obecny. Chciałem powiedzieć, że wydaje mi się głupotą — no, niepowiniennem użyć tego wyrażenia, bo wy naturalnie nie jesteście właściwie...

Zaczem znów się głośno rozśmialiśmy i on się zmiarkował.

— Ja tylko chciałem powiedzieć, że brać filozofię religii przeszłości i kłaść ją w waszem laboratorium i dociekać w niej prawdy, a odrzucać ją, jeśli nie wytrzymuje próby, jestto zapoznawać całą jej wartość i znaczenie. Istotną kwestyą jest, jakie to nadzwyczajne, czarowne, tragiczne lub komi-

czne życie zeszło na wytworzeniu tego cennego okazji? Jakie nowe daje objawienie świata możliwości? W ten sposób zapatruje się człowiek, jeśli ma życia całe poczucie. Szuka życia wszędzie kocha je, gdzie tylko i skoro tylko z niem się zetknie; niepyta, czy one jest złe, czy dobre. Ono po prostu jest, a człowiek z niem zespolony. Proszę np. wyobrazić sobie kogoś, kto by mógł zwiedzić Muzeum Brytańskie i przejść mimo partenoińskiej fryzy gzymsowej — i powiedzieć, że mu się ona na nic nie zda! I dla czego? Bo, przypuszczam, my się dziś już tak nieubieramy i nie potrafimy jeździć konno na oklep! Lecz zastanówcie się jeno! Tam, krzyczący ze ściany — nie powinienem powiedzieć: śpiewający anielskim głosem — jest duch życia w swem najpiękniejszym, najpotężniejszym, najcudowniejszem, boskiem wcieleniu, głoszący: »Kochajcie mnie, pojmujcie mnie, bądźcie na moje podobieństwo!« A nowe pokolenie przechodzi мимо, z nosem do góry zadartym i odburcza: »Nie! tobie nic do nas! tyś nieznał wiedzy! tyś nie produkował po czworo dzieci od sztuki, jak my produkować zamierzamy. Twoja edukacya była retoryczną, filozofia idyotyczną, a zdrożności — niewysłowione! Nie, nie! między nami nie ma nic wspólnego!« I tak idą dalej — wszak ich widzicie? w racjonalnych ubraniach, z racjonalnymi umysłami, skamieniałemi sercami, z próżnią tam,

gdzie miała być ich wyobraźnia! Okropność, okropność!

Albo może zajrzą do Asyżu i święty Franciszek wychodzi do nich na rozmowę. »Spójrzycie — rzecz — co za cudny świat, byleście tylko pozbyli się niepotrzebnych ciężarów! Pieniądze, domy, odzież, pokarm, to tylko zawady! Chodźcie i oglądajcie samą rzeczywistość, chodźcie i żyjcie życiem duszy, płóńcie jak płomienie, kwitnijcie jak kwiaty, płyncie jak górskie strumienie!« — A ci odpowiadają: »Szanowny panie, jesteś brudas, gbur i nieokrzesany! Prócz tego, zachęcasz do żebractwa i zabobonności. Nie, nie! dziękujemy za zaproszenie! — innym razem!« I odchodzą — na posiedzenie komisji Zorganizowanej Dobroczynności¹⁾. To jest... to można...

Znów się zmiarkował i nieco spokojniej mówił dalej:

— No, gniew tu nie na miejscu... i być może, iż, co do was wszystkich, niemam racji. Zresztą, niepowiedziałem dokładnie, com chciał powiedzieć. Chciałem powiedzieć... co to było? Aha! że takie stanowisko jest nieodłączne od idei postępu. Po-

¹⁾ *Charity Organization Society*, główne w Anglii stowarzyszenie dobroczynności, mające siedzibę w Londynie, rozporządzające ogromnymi środkami, lecz z powodu jaki »Coryat« ma tu na myśli, zawsze bezradne wobec coraz groźniejszych problemów angielskiego pauperyzmu. (Przyp. tłum.)

chodzi stąd, że z przeszłości i terażniejszości zdiera się wszystką wartość, by ją złożyć na przyszłość. A przecież jej tam niezłóżyć! złożyć niezdolacie! Ona się jakimś sposobem w międzyciągu ulatnia. Gdzież więc jest? Mojem zdaniem, jest zawsze — w życiu i w każdym życia rodzaju. Jest cały czas, we wszystkim, co wy potępiać. Naturalnie, rzeczy, o których mówicie, że są złe — są rzeczywiście złe. Ale te same rzeczy są zarazem tak dobre! To znaczy... np. czytałem niedawno w dzienniku jeden z tych okropnych artykułów — swoją drogą, mogą one być bardzo pożyteczne — o warunkach, w jakich żyje wiejski wyrobnik. Zaczem wyjechałem na prowincję i oglądałem wszystko w należytem otoczeniu i oświetleniu, w całości, z tem wszystkim, o czem artykuł niewspomniał — no, i koniec końców, tak źle jednak niebyło. Niepowiem, że było dobrze, ale... było doprawdy cudownie! Ogromne konie o kudłatych pęcinach pasły się na zielonych łąkach, bydło załaziło do płytkich stawów; były tam obramowane wierzbami strumienie, ptaszki świergotały w oczeretach⁸, skądś wszędzie odzywały się skowronki i kukułki i drozdy. Były dalej ubielone kwieciami sady i małeńkie, słońcem zalane ogródki, cienie obłoczne chodziły tu i owdzie po błoniach. Wśród tego wszystkiego był tyle omawiany wyrobnik. I doprawdy, niewyglądał na wcieloną skargę! Myślał o swoich koniach, lub o swym chlebie

z serem, albo o dzieciach, rozbawionych przy drodze, może o swych kurach, kogucie i prosięciu. Nieprzypuszczam, rozumie się, że wiedział, jak piękne było wszystko dokoła; lecz jestem pewien, że miał jakieś błogie poczucie, iż był częścią tego wszystkiego, iż jak mu jest, tak jest — a jest mu koniec końców dobrze. Niemartwił się wcale swym położeniem, jak wy się za niego martwicie i troszczycie. Niepowiem, że martwić się i troszczyć niemacie prawa — w pewnej mierze; właściwie nikt się niepowinien martwić. Ale niepowinniście przypuszczać, że wszystko jest złe, okropnie, nieznośnie, właśnie dla tego, ponieważ możecie sobie wyobrazić warunki lepsze.

Jest w nieuniknionych faktach życia, w zarabianiu na utrzymanie, w małżeństwie i wychowaniu dzieci, w kończeniu się jednego dnia i zaczynaniu drugiego, w niepewnościach trwogi i nadziei, zarówno w tragediach jak w komediach — jest coś, co nas zajmuje i ciekawi i pochłania, nawet jeśli nas nienapełnia rozkoszą. Niemówię, że ludzie są szczęśliwi; czasem są, czasem nie są. Bądź jak bądź, są zaciekawieni, zajęci. A przedmiotem tego zajęcia jest właśnie życie. Zajęcie to i zaciekawienie jest nieustające, idzie od wszystkich wieków, przez wszystkie klasy. Skoro je stawicie poza nawias, stawicie poza nawias jedyną rzecz istotnie w życiu i dla życia znaczącą. I oto, dla czego ideały są tak czeze — właśnie, chcę po-

wiedzieć, dla tego, że nieistnieją. Daję wam słowo — teraz uczynię wyznanie — iż często, gdy wychodzę z jakiegoś posiedzenia, lub po przeczytaniu strasznego jakiegoś artykułu o społecznej reformie, to mi się chce całować i ścisnąć wszystko i każdego po drodze, jedynie dla tego, że wszystko, i rzeczy i ludzie, są tak dobrzy, iż istnieją — tramwajowi konduktorzy, woźnice fiaków, kupcy, zaułkowi kamienicznicy, ofiary zaułków, prostytutki, złodzieje. Bądź co bądź — ot, są! są w nadzwyczajnej oprawie swego otoczenia i warunków, płyną z prądem wielkiej rzeki życia, które było i jest i będzie samo w sobie swem własnem uzasadnieniem poprzez niebądź jakie płynię kraje. Jeśli tego nierozumiecie — jeśli macie całe rzesze, które tego nierozumieją — to, choćbyście społeczność waszą uczynili niewiem jak sprawną, szczęśliwą, zasobną, zamożną, porządną, sprawiedliwą i t. d., rzeczywiście niewiele dla niej uczynicie. Może nawet jej stan ostateczny gorszym będzie od pierwotnego, skoro zatracą naturalną, instynktową życia akceptację, nienauczywszy się, jak je akceptować na wyższym poziomie.

I to jest, dla czego — teraz idzie, com istotnie chciał powiedzieć — dla przyszłości i dla obecných czasów świata nie ma nic tak doniosłego, jak poezya. Allison np. i Wilson byliby innymi, gdyby tylko czytali moje utwory! Niewiem nawet — jeśli nieobrażę, iż to powiem — czy sam

Remenham nie odniósłby z nich pożytku. (Remenham zaznaczył z uśmiechem, że je czytał; zaczem Coryat dość komicznie zauważył): No... tak!... może więc moja poezya niewystarcza. Lecz jest przecież Shakespeare, Milton i — mniejsza o to, kto, byle w nim była treść najistotniejsza wszelkiej wielkiej poezyi, a jest nią wzbudzenie poczucia, iż wszystko, wszystko ma swoją wartość. Niemam przez to na myśli wszechistną szczęśliwość, jeno właśnie tę nadzwyczajną wartość, której część stanowią same nawet te nierozwiązane kwestye Dobrego i Złego. Nikt nigdy z pewnością nienapisał prawdziwie wielkiej tragedyi — weźcie np. najstraszniejszą z nich, »Króla Leara« — nieodczuwając do najgłębszych głębi wartości życia; życia tego, jakim ono jest; życia w jego wyrazie najbardziej bezlitosnym, najokrutniejszym, z wszystkimi zbrodniami, mękami, niepokojami — nieczując, że bezporównania chętniej żyłby i przeszedłby to wszystko, niżby wcale nieżył. Tragedya atoli, to już przykład skrajny. Poeta czyni dla nas to samo w każdej prostszej i pospolitszej ewentualności. Pokazuje nam, iż biegi życia, które opiewa, mają swoją wartość — wartość przyjemności, dowcipu, cierpliwości, boleśnie zdobytej mądrości, rezygnacyi, nadziei i ufności, nawet dodam — zmarowania i rozpaczy. Niezamyka oczu na nic, patrzy nieustraszenie na wszystko, lecz widzi wszystko w perspektywie prawdziwej, w świetle jasnym

i, widząc Zło wszystko, przecież mówi z Bogiem: »Oto, bardzo jest dobre«. Widzisz pan (dodał z czarującym uśmiechem, zwracając się do Audubona), ja godzę się z Bogiem, a nie z tobą. I kto wie, czy, gdybyś chciał czytać poezye... no, ale trzeba nietylko czytać, poezyę trzeba czuć...

— Ha! — rzekł Audubon — w tem właśnie cała trudność!

— Zapewne. No... Ale zdaje mi się, że nic więcej do powiedzenia niemam.

I na tem skończył.



Obok Coryata siedział ktoś, który dopiero od niedawna należał do naszej Biesiady. Nazywał się Harington. Był zamożny, stał na czele bardzo starożytnego rodu, a swego czasu brał był w życiu politycznym wybitny udział. Ostatnimi czasy atoli przemieszkiwał głównie we Włoszech, oddawał się badaniu i zbieraniu dzieł sztuki. Jego przekonania były mi nieznane, bo tak się złożyło, że ani żadnej jego mowy nie słyszałem, ani z nim nawet jeszcze nierozmawiałem. Niemiałem więc pojęcia, gdym go teraz do głosu powołał, co powie i jak mówić będzie — czekałem z wielkiem zaciekawieniem, gdy wstał i na chwilę zdawał się zbierać myśli. Dniało już, rozeznawałem jego twarz niezwykle piękną i dy-

stygnowaną. Wyglądał doprawdy na wielkiego pana z XVII wieku i, pominąwszy ubranie, mógł robić wrażenie kawalera, występującego z płótna Van Dycka. Niebawem przemówił pełnym, melodyjnym głosem, z powagą, która harmonizowała z całym jego zachowaniem się.

— Pozwólcie, panowie — rzekł — iż zacznę od wyznania, może powinienem nawet powiedzieć: od usprawiedliwienia się. Zaszczyt to dla mnie znaleźć się znowu wśród was po wielu latach, lecz zaszczyt nie bez pierwiastków zakłopotania. Zylem tak długo zagranicą, że czuję się tu obcym. Słyszę tak swojskie mi niegdyś głosy, ale mi ich język wyszedł z pamięci; widzę doskonale niegdyś znane formy, lecz atmosfera, w której się obracają, wydaje się mi dziwną. Wracam z Włoch — i Anglia nachodzi mnie z pewną niespodzianością. Nawet jej wygląd fizyczny inaczej się mi przedstawia dziś, niż dawniej. Znajduję ją przepiękną, pięknem szczególnem i wyłącznem. Ale czegoś mi brak tutaj, do czego przywykłem na południu; brak mi światła, formy, wielkości i szerokości. W ich miejscu jest sina lub złotawa mgła, są zamazane kontury, miękkie nieba, soczyste, bujne zieloności. Włochy dają oddźwięk metalu — Anglia, zakrytego bębna. Tamten kraj ma gorącość Piękna, ten zaś wdzięk Malowniczości. Mówię o tem, bo mi się zdaje, iż widzę — może grzeszę zbytkiem wy-

obrażni — podobną między północą a południem różnicę charakteru umysłowości. Grecka, a i Włoska, umysłowość jest bezlitosna, dociekająca, biała, jak śródziemnomorskie światło słoneczne; angielska i niemiecka jest dobrotliwa, dyskretna, uprzejma i tkliwie zmacona. Tamta promienieje naga na rozpalonych niebiosach; tę zaś miarkują opary uczucia. W szczególności, Anglicy rzadko próbują naprawdę patrzeć faktom w oczy. Uprzedzenia i ideały osaczają i odosobniają ich, jak zielone żywopłoty otaczają ich domy i posiadłości; nawet pod względem umysłowym zamieszkują krainę obejść niewielkich. Nieprzeczę, iż wpływ stąd jest łagodzący i kojący. Ja jednak, przyznam to otwarcie — czuję się tu nieznośnie ścieśnionym, skurczonym. Wzdycham za światłem, przenikającym wszędzie, za manifestacją rzeczy w ich istocie realnej. Nazbyt długo obcowałem z Arystotelesem i Machiavellim, by mi mogło być swojsko w kraju anglikańskiego Kościoła i Herberta Spencera.

Przerwał tu i zdawał się z sobą ważyć — gdy w nas rosła ciekawość, do czego mowca dąży. Niebawem znów podjął.

— Wstęp mój wyda się może przydługim. Nie jest on atoli od rzeczy, choć z niego wywodzę dalej nie bez pewnej obawy. Jeśli mój poprzednik pozwoli, iż u niego zapożyczę tematu, zapytam go, czy nie widzi, iż postępuje z dziwną ogólnikowością, gdy stawia tezę bezwzględnej wartości wszy-

stkiego życia? Przecież poeta — a Coryat-twórca, niech mi będzie wolno mu to powiedzieć, jest bliższym prawdy, niż Coryat-teoretyk — poeta usiłuje odtworzyć, skądkolwiek ma sposobność, to co jest wyjątkowo piękne, wyborowe, wybitne i niezwykłe. Nie życia on szuka, lecz piękna. Przyrody nie odtwarza taką, jaką ona jest — tylko jej nakłada pewien wskaźnik. I tak się ma z każdą sztuką, niewyłączając sztuki samego życia. Życie, jako takie, ani jest dobre, ani złe — a nierozróżniająca kondemnata, rzucona przez Audubona, jest chyba tak samo nie na miejscu, jak Coryatowa nierozróżniająca aprobata. Życie stanowi surowy materiał artysty, czy on jest człowiekiem prywatnym, spełniającym osobiste swe przeznaczenie, czy mężem stanu, kształtującym przeznaczenie narodu. W jednym i drugim razie, celem artysty jest życie dobre ¹⁾ — a wartość jego pracy, działalności, zależy od tego, jak on sam je sobie wyobraża.

Przypominam wam te oczywiste fakty, choćbym miał was nudzić, ponieważ dzisiaj, ze względu na kierunek, jaki przybrała nasza dyskusja, musimy uważać się za mężów stanu — aktualnych, lub możliwych. Ja zaś w tym charakterze, widząc się w niezgodzie z każdym tu obecnym — z wyjąt-

¹⁾ *The good life*: cała siła wyrażenia leży w rodzajniku i daje pojęcie życia, j e d y n i e dobrego. (Przyp. tłum.)

kiem może Cantilupe'a — i szukając tego przyczyny, mogę tylko wnosić, iż zupełnie inaczej przedstawiam sobie życia zadanie i ku temu środki. Wy wszyscy, zdaje mi się, wyjąwszy Cantilupe'a, wychodzicie z założenia, iż życie dobre, cokolwiek przez nie rozumieć, może być udziałem każdego człowieka — i że społeczeństwo powinno być urządzone tak, ażeby ten rezultat upewnić. Faktycznie, jestto postulat demokratyczny, sławiony dziś tak ogólnie, nietylko w tem towarzystwie, lecz w całym świecie. Lecz właśnie przeciw temu postulatowi występuję. Twierdzę, iż życie dobre, albo musi być przywilejem niewielu, albo wcale nie istnieć. Życie dobre, według mojego zapatrywania, to jest życie dobrego pana¹⁾ (*gentleman*). Wiem,

¹⁾ Jeżeli, jak słusznie mówi »Harington«, w samej Anglii poniżyło się dziś znaczenie wyrazu *gentleman*, nie dziw, iż u nas, gdzie tego znaczenia nigdy niepojmowano właściwie, przeciętne jego pojmowanie jest nieomal karykaturalne. Definicya, wskazana tu w dalszym ciągu, nie jest ścisłą — z natury rzeczy, t. j. przy otwarciu pogańskiem mowcy stanowisku, być nią niemoże — lecz grzeszy ponadto znamieniem ograniczeniem. Może najlepsze typy *gentlemana*, przechodzące granice kultury wyłącznie anglosaskiej, choć mimo to angielskie, znajdzie czytelnik w »pułkowniku Newcome« powieści Thackeraya (*The Newcomes*) i w bohaterze powieści (robotniku) *John Halifax, Gentleman*, pani Craig.

Odpowiednio do idyosynkrazji mowcy, niemogłem, sądzę, spolszczyć na tem miejscu wyrazu *gentleman* inaczej, jak przez »dobry pan«. Ale tu, z zasadniczych warunków rozwojowych naszej moralno-społecznej kultury, trudność

iż poniżono to określenie — i to znak najbardziej złowieszczy upadku Anglików. Lecz posługuję się niem w jego prawdziwym i szlachetnym znaczeniu. Przez dobrego pana rozumiem człowieka odpowiedzialnego; takiego, który, używając pewnych przywilejów, uznaje pewne obowiązki; właściciela dóbr ziemskich, który jest zarazem, i z tego powodu, żołnierzem i mężem stanu; człowieka z wrodzoną zdolnością i dziedziczną tradycją rządu; jednym słowem, członka rządzącej arystokracji. Nie, żeby dobry żywot polegał na sprawowaniu rządów; lecz tylko klasa rządząca i ci, którzy dokoła niej się skupiają, są zdolni do życia dobrego. Szlachectwo jest przywilejem arystokraty — a szlachetność stanowi nieodzowną istotę dobrego człowieka.

Mówi się, że dobro jest w cnocie, w wiedzy, w sztuce, w miłości. Niewdaję się w dysputę; lecz dodać winniśmy, iż tylko człowiek szlachetny może być cnotliwym po bohatersku, wiedzieć mądrze,

powstała dwojaka. Do zupełnie wiernego, nawet do treściwego oddania niektórych określeń angielskich, brak nam po prostu słownictwa. *Noble, nobility*, nieoznaczają szlachcica, szlachectwa, według naszych pojęć; wskazują bowiem wywyższenie do hierarchii rycersko-feodalnej, tej, której pierwszy stopień stanowi baronia, a najwyższy księstwo. Tak samo przymiotnik *good* i rzeczownik *goodness*, jak ich powyżej używa mowca, mają znaczenie daleko szersze i głębsze, niż strywializowane »dobry« i »dobroć« — zarazem jednak bardziej, że tak powiem, humanitarne. (Przyp. tłum.)

pojmować i odczuwać subtelnie. Zaś cnota, która jest małostkową, wiedza, która jest pedantyczną, sztuka, która jest nikczemną, miłość, która jest zmysłową — Dobrze wcale nie są. Człowiek szlachetny czuje i wyraża się z konieczności szlachetnie. To co mówi, jest literaturą; jego wzięcie się, sztuką; jego działanie, dramatem; jego uczucia, muzyką¹⁾. Dokoła niego skupia się i ściąga wszystko, co jest wielkiem w literaturze, nauce, sztuce. Wspaniałe budowle, przepiękne obrazy, rzeźby, poematy, pieśni tłoczą się do jego domowiska i towarzyszą mu od kołyski do grobu. Wytworny jego umysł przyciąga sobie podobne. Szuka genialności, lecz unika pedantyzmu; bo wiedza stanowi część jego życia. Instynktowo staje się świadomym tego, co jest wielkie, bo mu to jest bliskie, pokrewne. A tylko w ten sposób można się czemś prawdziwie przejmować. Bo człowiek każdy i każda klasa te tylko może rozumieć i uprawiać cnoty, które są właściwe ich zajęciom. Profesor niebędzie nigdy bohaterem, choćby niewiedzieć jak się wczytywał w klasyków. Pomocnik sklepowy niebędzie nigdy poetą, choćby niewiedzieć ile czytał poematów. Gdzie chodzi o cnotę — cnotę w znaczeniu starożytnem, poczucie honoru, odwagi, samodzielności, instynktu władzy — trzeba, ażeby była

¹⁾ Powiedział Carlyle: *All deep things are Song* — »śpiewem jest wszystko, co jest głębokie«. (Przyp. tłum.)

klasa dżentelmenów. Inaczej, cnota będzie w najlepszym razie czczem pojęciem, mózgową fantazyą — nie zaś charakterem i siłą.

Dla czego teraz wzgardza się u nas studjami klasycznymi? Nie dla tego, iżby niebyły tak cenne, jak zawsze, tylko dla tego, ponieważ nikt dziś już nierozumie ich wartości. Kupcy, którzy wami rządzą, czują instynktowo, że te rzeczy nie dla nich — i mają słusność. Rzeczy te wszechstronnie przechodzą ich miarę. A one właśnie stanowiły naturalny pokarm dżentelmenów. Przykład może uwydatnić ogólną prawdę tę, że niepodobna zrewolucjonizować klas i ich wzajemnych stosunków, nierewolucjonizując kultury. Daremnie sobie wyobrażacie, iż można przyswoić demokracji spadek po arystokracji. Możecie dać im książki, pokazać obrazy, wskazać przykłady. Lecz daremnie! Nasienie niewzrośnie z nowej ziemi. Masy niebędą nigdy wychowane i wykształcone w tem znaczeniu, w jakim były klasy. Możecie sobie tego winszować, lub nad tem ubolewać — bądź jak bądź, powinniście przynajmniej to przyznać. Co do mnie, ubolewam; a ubolewam dla tego, ponieważ jestem przekonany, iż życiem dobrem jest życie dżentelmana.

Stąd wynika, że mój ideał społeczno-polityczny jest arystokratyczny. Bowiem pojęcie klasy dżentelmenów przypuszcza z góry podtrzymujące ją, rozmaite klasy pracowników. Te zaś, z idealnego

punktu widzenia, należy uważać tylko jako środki. Nietwierdzę, iż tak jest słusznie — niepowiem, że mybyśmy tak ustanowili, lecz jestem przekonany, że tak chce przyrodzone prawo świata, w którym żyjemy. W całym królestwie przyrody, rodzaj każdy istnieje tylko na to, aby posilkować i podtrzymać życie innego rodzaju. Wszędzie wyższe gatunki żyją z niższych; wszędzie Dobro jest pasożytem Zła. A jak w przyrodzie, tak wśród ludzi. Czytajcie dzieje z umysłem bezstronnym, czytajcie je w świetle jasnym, a zobaczycie, że nie było nigdy wielkiej cywilizacji, któraby nieopierała się na nieprawości. Kto patrzy otwartymi oczami, ten przyznaje i zawsze przyznawać będzie, iż największą cywilizacją europejską była grecka. A z nią nie tylko łączyło się, lecz stanowiło jej organiczny czynnik — niewolnictwo. Odbierzcie jej to, a odbierzcie jej Peryklesa, Fidyasza, Sofoklesa, Platona. Pomińcie Grecyę, jeśli wam wola. Dokąd się zwrócicie? Do średniowiecza? Napotkacie feudalizm i pańszczyznę. Do świata nowożytnego? Wpadniecie na pracę zarobkową. Ale — powiecie — my patrzymy w przyszłość; zniesiemy pracę zarobkową, jak znieśliśmy niewolnictwo. Dojdziemy do tego, że powstanie społeczeństwo, oparte na słusznym podziale, gdy każdy będzie miał pracę produktywną, nikt niebędzie żył kosztem drugich. Nie wiem, czy do tego dojść zdołacie — być może; lecz zechciejcie obliczyć koszt. A w pierwszym

miejscu, pozwólcie zwrócić sobie uwagę na to, coście już istotnie zrobili w ciągu ubiegłego stulecia.

Zdeponowaliście swoją arystokrację, w jej miejscu stawiliście ludzi, którzy pracują na własne utrzymanie, zamiast dla dobra publicznego — przemysłowców, bankierów, kupców, dyrektorów kolei, propinatorów, giełdjarzy. Czy lepiej i słuszniej jesteście rządzeni, teraz się niepytam. Wam się zdaje, że tak jest. Co ja atoli widzę, wracając do Anglii w rzadkich czasu odstępach, to, że niszcycie wszystkie wasze ideowe wskaźniki (*standards*). Poczucie osobistej godności, obyczaje, szlachetność, ba, sama nawet uczciwość — wszystko to szybko z pośród was znika. Za każdym powrotem znajduję was bardziej nikczemnymi, małostkowymi, bardziej wyspiarskimi, brzydszymi i tępszymi. Bo one rzeczy wyższe, realnie dobre, były wśród was popierane i krzewione przez waszą klasę dżentelmenów — póki na tę nazwę zasługiwali. Lecz, pozbawiając ich władzy, pozbawiliście ich odpowiedzialności — która stanowi sól przywileju; gniją w waszych oczach, rozkładają się, kruszą i przepadają.

Czy ogólny waszej cywilizacyi poziom się wznosi — nieorzekam. Ani, mojem zdaniem, nie jest to kwestya tak bardzo doniosła, skoro tego rodzaju wzrost musi być prawie niedostrzegalny. Wybitnym faktem jest, że znikają szczyty — że

niebawem niepozostanie już nic, co szuka gwiazd. Wasze klasy średnie mają bezwątpienia wiele zalet; są, dajmy na to, rozumne, zdolne, pracowite, i godne szacunku. Ale niemają pojęcia o wielkości -- ba, nawet je nienawidzą. Cokolwiekbyś sprawiły lub niesprawiły, to pewna, iż zniszczyły wszelką szlachetność. W sztuce, w literaturze, w dramacie, w budowie pałaców i domów, *nihil tetigerunt, quod non foedaverunt*. Taki jest rezultat oddania władzy ludziom, którzy zarabiają na własne utrzymanie, zamiast klasie, ustanowionej szczególnie, przez dziedziczny przywilej, do rządzenia i realizowania dobrego życia. Powiecie atoli dalej, że to tylko stan przejściowy. Powiecie: mamy jeszcze klasę pasorzytną — klasę kapitalistyczną. Dopiero, gdy jej się pozbędziemy, rozpocznie się prawdziwa równomierność, a z nią nastąpi wszystka inna doskonałość. Ano, nieprzeczę, iż możecie dojść do zaprowadzenia, niepowiem doskonałej równości, ale daleko większej, niż świat kiedykolwiek widział; że możecie wymagać od każdego jakiejś pracy produktywnej, w zamian za zapewnienie wygodnego utrzymania. Lecz za tem nie idzie, że w ten sposób wytworzycie szlachetność charakteru, którą ja uważam za jedyne rzeczywiste dobro. Bo ta szlachetność — jak całe dzieje uczą i wszystko doświadczenie, jeśli tylko rzetelnie zechcecie ją badać — jest wynikiem klasowej świadomości. Osobista inicjatywa, osobista

moc, niezależność od poziomych trosk dziennych, poczucie dziedzicznego obowiązku, oparte na dziedzicznym przywileju, świadomość osobistego wyszczególnienia dla wyższych celów, świadomość, iż się jest sam sobie panem i panem innych ludzi— to wszystko i dużo więcej jest niezbędne do wytworzenia dżentelmana, a wszystko to jest niemożliwe w państwie socjalistycznym. W wiekuistym porządku tego nieubłaganego świata przepisano, że wielkość nie może wschodzić, jak tylko z roli niesprawiedliwości, że sprawiedliwość może wydać tylko wartościową średniość. Że masy wolą sprawiedliwość kosztem wielkości, jest zrozumiałem, owszem nawet jest nieuniknionem; i w tem leży najgłębsze demokracji znaczenie. Lecz ludzie szlachetni (*gentlemen*) powinni byli intuicyjnie widzieć i mieć odwagę do powiedzenia, że koszt jest zbyt wielki. Na to się niezdobyli — stąd na nich kara utraty bytu. Usiłując zaprowadzić równość, poświęcili siebie samych. Mnie jednak te usiłowania zajmować niemogą. Społeczeństwo, na którym buduje, jest społeczeństwem arystokratycznym. Trzymam z Platonem i Arystotelesem, że masy powinno się traktować jako środki — traktować dobrze, traktować sprawiedliwie, o ile rządność pozwala, lecz zawsze traktować jako środki, wyższym podporządkowane zadaniom i celom. Wy na inną wstąpiliście drogę. Jesteście zdecydowani znieść, zniweczyć klasy; z ziemią wszystko zrównać, ażeby ziemi

poziom podwyższyć; zniszczyć wszelkie wyższości, aby podnieść przeciętności. Niepowiem, że się wam to nieuda. Lecz, jeśli się uda, osiągniecie dobrobyt kosztem wielkości, i wasze społeczeństwo będzie społecznością nie ludzi, jeno mrówek i pszczół.

Bo Demokracja — zauważcie to dobrze — niweczy wielkość każdego rodzaju, wielkość umysłowości, pojmowania, tak samo jak wielkość charakteru. A w szczególności, niweczy sztukę, to życia odzwierciedlenie, którego gdy niema, niepodobna mówić, iż żyjemy. Bo artysta — to człowiek ze wszystkich najrzadszy, najlepszy. Jego zmysły, intuicyja, umysłowość są wyposażone przyrodzoną i wrodzoną subtelnością i odrębnością. Należy do jednej klasy — bardzo szczupłej, bardzo wyłączonej. I on też klasy potrzebuje, któraby go właściwie oceniała i trzymała. Żadna jeszcze demokracja niewytworzyła, ani nierozumiała sztuki. Przykład Aten jest błędny, bo Ateny stanowiły arystokrację pod wpływem arystokraty, kiedy powstał Parthenon. Zawsze i wszędzie pielęgnowali sztukę mecenasami, nigdy lud. Jakżeby ją miał pielęgnować? Instynktowo nienawidzi jej, jak nienawidzi wszystkich wyższości. Nie Florencja trudniła Michała Anioła, jego pracy szukali Medyceusze, szukał papież; Leonarda nie Medyolan cenił, a Ludwik Maur. Reynoldsa i Gainsborougha mecenasami byli angielscy wieley panowie — ulubieńcem naszych warstw średnich jest Herkomer i jest Col-

lier. Byli wprawdzie z ludu urodzeni i przez lud ukochani poeci — i ja bynajmniej ich poezją niegardzę. Ale to nie jest poezya istotnie wielka. Wielkim jest Sofokles i Wirgiliusz — wysoka kultura, zespojona z bogatym przyrodzeniem. A takiego zespołu niewyda rola, ni targowisko. Literatura, pielęgnowana przez demokratyzm, jest jak on sam: nie literatura to żadna, jeno dziennikarstwo — gburowata, krzycząca, sensacyjna, pozioma. Tak samo z dramatem, z architekturą, z sztuką każdą. Niech mecenasów sztuki zastąpią masy, a zniknie smak. Ginie artysta, ostaje się i wybuja szarlatan. Tylko jeszcze w naukach macie poniekąd arystokrację. Bo tłum widzi, że w nauce tkwi zysk — i pozwala jej iść, kędy chce. Gwoli tego, że nauka da się stosować, można się jej oddawać bezinteresownie. A demokratyzm, jakkolwiek niecierpliwie, znosi dotychczas cele idealne, w nadziei zdegradowania ich owoców do służby użytkowej.

W ten sposób zapatrując się na społeczeństwo demokratyczne, szukam naturalnie takich pierwiastków, które obiecują, nie krzewić go, lecz mu przeciwdziałać. Szukam zarodków nowej arystokracji. Znaleźć je jest trudno — i może moje pragnienia zasłaniają mi zdrowy sąd. Lecz mniemam, że właśnie kraj, który z choroby ucierpiał najsrożej, pierwszy odkryje lekarstwo. Podzielam o amerykańskiej cywilizacji opinię Ellisa, upieram się jednak przy nadziei, że już tam zaczyna świtać

reakcyą. Spotkałem we Włoszech Amerykanów z subtelniejszym poczuciem piękna, różnicy i formy, niż mogłem znaleźć u Anglików, od których znów Włosi stoją pod tym względem jeszcze niżej. A gdy raz na tę świeżą i niezarusłą rolę padnie ziarno tego ideału, który Grecyę uczynił wielką, któż zdoła przepowiedzieć, do jakich niewykwitznie form piękna i myśli? Kto wie, czy zachodnia Plutokracya nie przemieni się jeszcze w Arystokracyę — i czy Europa nie w Ameryce odkryje na nowo tajemnicę swej minionej wielkości?

Taka przynajmniej ukazuje się mi najlepsza dla świata nadzieja. Ku jej spełnieniu chciałbym zjednoczyć usiłowania wszystkich na świecie ludzi kulturalnych. Bo królestwo tej ziemi, jak królestwo niebieskie, gwałtem się zdobywa. Trzeba nam wyteżać się, nie aby iść za prądami, ale przeciw nim, jeśli chcemy spełnić jakąkolwiek rzecz wielką; a ludzie zdolni do rządzenia, muszą mieć odwagę do objęcia władzy — jeżeli jeszcze kiedyś mamy posiadać cywilizacyę. Dla tego właśnie ja, ostatni potomek starej arystokracji, wyczekuję z tamtej strony atlantyku pierwszego pioniera nowej. Poprzez socyalizm, poprzez anarchię, poprzez całe to rozhukane morze wyteżam wzrok i dostrzegam, perłowo-siną na tle brzasku, nową i majestatyczną twierdzę Władzy. Bo Władza, to ośrodek krystalizacyi wszystkiego dobra; mając to, ma się moralność, sztukę, religię; bez tego, niepozostaje nic,

prócz popędów i namiętności. Więc Władza jest życia warunkiem — nawet życia mas — w każdym znaczeniu, w jakim żyć warto. W istotnym interesie samego demokratyzmu powinien każdy dobry demokrat prosić Boga o przyjście arystokracji.



Wszyscy już z naszego towarzystwa przemawiali, z wyjątkiem dwu. Jednym był pisarz, Vivian — tego postanowiłem zostawić na sam koniec; drugim John Woodman, członek Stowarzyszenia Przyjaciół¹⁾, którego

¹⁾ Sekta t. zw. »Kwakrów« (*Quakers*), której założycielem był Jerzy Fox w 1648—66 i która, mimo wielkich niegdyś prześladowań, istnieje dotąd w Anglii i Ameryce. Liczną niebyła nigdy; odróżniała ją zawsze od innych szczególna życia prawość. Sekta chrześcijańska, wyznająca wszystkie podstawowe fakty chrystyanizmu, a tem głównie znamienna, że, niepostępując się technicznym słownictwem, porzestaje na treści Pisma św. i unika wszelkich zawłości teologicznych. Jej nauka streszcza się w tyle dziś głośnym »immanentyzmie«: światło Chrystusowe świeci w duszy każdego człowieka, nawet poganina — świeciło w duszach ludzkich od początku. Zebrania swoje, czyli nabożeństwa, odbywają kwakrzy w ten sposób, że, zgromadziwszy się, zatapiają się w skupieniu, póki Duch nie zstąpi i tego lub owego nie »poruszy«. Poruszony lub powołany w ten sposób członek zebrania, powstaje i przemawia. Na stałym łą-

uważano ogólnie za dziwaka, bo siedział na wiejskim gospodarstwie, sam własnoręcznie pracował — i odmawiał władzom podatków, ile że z nich utrzymują armię i marynarkę. Jeżeli Harington był z powierzchowności przystojnym, Woodmana twarz była wprost piękna, raczej jednak pięknością wyrazu, niż rysów. Dla mnie był on zawsze o tyle doskonałym, o ile rzadkim typem szczerego chrześcijanina. Skoro więc Harington odstąpił się nam jako typowy poganin, rad byłem sposobności, która tych dwu ludzi tak blisko zetknęła. Niebyłem tylko pewien, czy Woodman zechce w dyskusyi zabrać głos. Nieraz na poprzednich biesiadach wzbraniał się, a on jeden z pomiędzy nas umiał odmówić i stanowczo i bez obrazy czyichkolwiek uczuć. Dziś jednak powstał na moje zaproszenie i tak mówił:

— Ciekawy byłem cały wieczór, kiedy też przyjdzie kolej na mnie i czy, skoro przyjdzie, będę się czuł »poruszonym« — według naszego, kwakierskiego wyrażenia — do zabrania głosu. Teraz, kiedy ta kolej przyszła, jestem, zdaje mi się, po-

dzie europejskim wytworzyła się o kwakrach, niecałkiem słusznie, opinia, przynosząca im ujmę; wspomina się o nich, jak o dziwakach — dla tego, że przemawiają do każdego człowieka przez »ty«, że się ubierają z surową skromnością, a literaturę, sztukę i muzykę uprawiają jedynie w celach religijnych. (Przyp. tłum.)

wołanym — jednakże, raczcie wybaczyć, nie do długiego, ani do wymownego przemówienia. Co mam do powiedzenia, powiem jaknajprędzej i jaknajkrócej, wy zaś, jestem tego pewien, wystłuchacie mnie ze zwykłą sobie cierpliwością, chociaż różnić się będę od wszystkich innych mowców jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, niż się oni od siebie wzajem różnili. Bo wy wszyscy mówiliście ze światowego punktu widzenia. Wystąpiliście z przedłożeniami przemiany społeczeństwa i ulepszenia go. Lecz w celu dokonania takiej przemiany, polegaliście po największej części na środkach zewnętrznych. Mówiliście o rozszerzeniu lub ograniczeniu władz rządowych, o socyjalizmie, anarchii, wychowaniu, o doborowym rodzicielstwie. Ale nie mówiliście nic o jedynym Duchu i Życiu, przynajmniej nie w tem znaczeniu, w jakim ja bym mówił. Prawda, przypominam sobie, że MacCarthy użył wyrażenia »życie ducha«; ale, wyjąwszy, iż spodziewa się osiągnąć to »życie ducha« drogą gwałtu, nie jest mi wcale jasnym, co przez nie rozumie. To zaś, czego ja szukam i cenię, drogą gwałtu osiągnąć się nieda. Znów Coryat i Harington mówili o życiu dobrem. Lecz Coryatowi się zdaje, iż każde i wszelkie życie jest dobre. Linii rozgraniczającej, którą ja widzę wszędzie, on nieostrzega wcale — linii między dziećmi Bożemi, a dziećmi tego świata. Niemógłbym powiedzieć z nim, że jest przyrodzone dobro w życiu, jako takim; tylko, że

każde uczciwe zajęcie będzie dobrem, jeśli je sprawia człowiek dobry. Ludziom nie zamożności potrzeba, ani talentów, ani wysokiej umysłowości. To są dary, które mogą być udzielone, lub nieudzielone. Jedyłą potrzebą jest duch Boży, a ten zstępuje na wszystkich, którzy go szukają, i na ubogich, i na nieokrzestanych. Wierząc w to, nie mogę nie być z Haringtonem w sprzeczności. Bo życie, o którym on mówił, to jest życie tego świata. Wysławia on władzę, i mądrość, i piękność, i doskonałość ciała i umysłu. Na posiadaniu tego wszystkiego, według niego, polega życie. A skoro to są rzeczy tak rzadkie i do osiągnięcia trudne, skoro do wypielegnowania wymagają naturalnych zdolności, oraz swobodnej niezależności, zamożności i wysokiego stanowiska, wnosi Harington, iż życie dobre jest możliwe tylko dla ludzi niewielu — i że wszyscy inni tamtym powinni służyć. Jeżeli te dobra, o których mówi, są rzeczywiście dobrami, Harington ma słuszność, bo w rzeczach tego świata, co jeden bierze, drugi musi oddać, lub tego się wyrzec. Skoro są rządzący, muszą być podwładni; obok bogatych muszą być biedni; gdzie są próżniacy, muszą być ciężko pracujący.

Ale rzeczywiste Dobro nie jest tak wyłącznem. Dostępnem jest dla każdego, a im więcej który człowiek go posiada, tem więcej drugim rozdaje. Tem Dobrem jest miłość Boga, a przez Bożą miłość, miłość człowieka. Stare to są frazesy, lecz

nie starem ich znaczenie; raczej jest ono zawsze nowe, bo jest wiekuiste. Dziś, jak niegdyś, wśród wszystkiej wiedzy, w wirze interesów, odkryć i wynalazków, w tylostronnym świata zamięcie i pędzie i szczęku, człowiek może bezpośrednio przyjść do świadomości i do poznania Boga. A poznać Go, znaczy Go ukochać — Jego ukochać, znaczy ukochać Jego stworzenia, przedewszystkiem bliźnich ludzi, do których nam najbliżej, z którymi i z pomocą których musimy żyć. Gdyby ta miłość rzeczywiście między nami panowała, kwestye, dziś tu omawiane, same by się rozwiązały. Albowiem, mielibyśmy wtedy wskazówkę życia, którą byśmy ogólnie zachowywali i nią się rzadzili — a z nią stany i warunki, które owe problemy wytwarzają, zniknęłyby. Że taka wskazówka, taka reguła istnieje, wszyscy ludzie są z dala i chwilami świadomi. Ona to wskazała, że niewolnictwo jest złem. I gdyby ją tylko byli czytali rzetelniej i szli za nią wierniej, niebyliby nigdy prowadzili wojny, ażeby znieść to, czego by nigdy nie myśleli utrzymać. Taż sama reguła przestrzega nas dziś, iż złem jest wojna, złem gromadzenie bogactw, złem życie z pracy drugich. W miarę jak zechcemy słuchać przestrogi, przestaniemy czynić to wszystko. Lecz zmieniać instytucye, nieprzemieniając serc — rzeczą jest czcą i daremną. Bo przemieni się jeno poddanych w rządzących, biednych w bogatych, wyrobników w próżniaków. I w rezultacie zobaczymy tylko

lekkomyślniejszych próżniaków, twardszych bogaczy, nieudolniejszych rządców. Nie gwałtem i otwartym czy zamaskowanym przymusem osiąga się Boże królestwo; sprowadzają je prostotą służby ci, którzy wiecznego prawa są świadomi, którzy w życiu własnem idą za niem i głoszą je dokoła swem życiem raczej, niż słowami.

Twardem byłoby to zadanie, gdybyśmy mieli polegać na samych sobie. Lecz mamy Boga, na którym możemy polegać, który pomocy swej udziela nie według naszych możliwości. Człowiek niemoże, myśląc, podwyższyć wzrost swój o cal; niemoże rozszerzyć zakresu swej umysłowości, ani sięgania swych zmysłów; samą wolą niemoże uczynić z siebie mędrca, ani przodownika ludzi. Lecz, czerpiąc z źródła, które stoi otworem dla najbiedniejszych i najslabszych, może zostać człowiekiem dobrym; a wtedy, jakiegokolwiek posiada lub nieposiada władze, w służbie Bożej używać ich będzie i ludzkiej. Jeżeli ludzkość w to uwierzy, i człowiek każdy według tej wiary żyć będzie, to, z Bożą pomocą, wszystko inne podobnie się ułoży. Tak dalece bowiem jest prawdą, że, byleście tylko naprzód szukali niebieskiego królestwa, wszystkie te rzeczy przydane wam będą. Tak; to jest prawda. Prawda wieczna. Nieodmienia się z naukami Kościołów, nie jest od nich zależną. Powiedziałbym nawet, że nie jest zależną od chrześcijaństwa. Bo te słowa byłyby szczerą prawdą, choćby nigdy nie był istniał

Chrystus, który je wypowiedział. A dowodem ich prawdy jest poprostu bezpośrednio świadectwo świadomości. Tego rodzaju prawdy dostrzegamy, jak dostrzegamy słońce. Same z siebie przynoszą swe własne upewnienie — i na tem się opiera pewność i istnienie Boga. W tem jest istota wszelkiej religii. Mówię to, bo wiem. A wy wszyscy — tak mi się wydaje — domyślcie się, odgadujecie. Nie jest też ta prawda, jak mogłoby się zrazu wydawać, bez związku z naszą dyskusją. Niema, nie było dotąd nigdy sprawiedliwej myśli społeczno-politycznej, bo niebyło jej, opartej na miłości Boga i człowieka. Wszystko to, co wy potępiacie — nędza i bogactwa, próżniactwo i nadmierna praca, brud, choroby, bezpłodne małżeństwa, napaści i wojny — trwać będzie nadal, mimo wszystkich zmian formy, póki ludzie nie zechcą wolać tego się pozbyć. A chcieć niebędą, póki się nienauczą kochać Boga i człowieka. Daremną będzie rewolucya, daremną ewolucya, wszystkie niespokojne szukania to tu, to tam na nic się niezdadzą, dopóki owa w sercu nienastąpi zmiana. A nastąpi niechybnie — w właściwej godzinie.

Widzę ją nurtującą wszędzie, w najrozmaitszy sposób, pod osłoną najróżniejszych opinii. Widzę ją zapowiadającą się tu dzisiaj, u tych, z którymi się najskrajniej niezgadzam: w nadziei Allisona i Wilsona, w wyzywającym stanowisku MacCarthy'ego, w wątpieniach Martina — a najwyraźniej

w rozpaczę Audubona. Bo on słusznie rozpacza nad jedynem życiem, jakie zna — życiem świata, którego owocem jest proch i popiół. Płyń on bezwładnie z falami oceanu, o północy, gdy żadna nieświeci gwiazda, rzucany wichrami zawodu, bólu, choroby, nieodwołałej straty. Ach, lecz tam w górze ponad nim, gdyby tylko był świadom — jak oto teraz, w naszych oczach i w naszym słuchu — wznosi się na kryształowy nieboskłon pierwszy skowronek świtania. I kukułka się odzywa, i kos—słyszycie? A wodotrysk zrywa się bezustannie ze swego iskr srebrzystych spadu, i znów bije w góry pod niebiosy, których niesięgnie, póki go ogień niezamieni w parę. Tak wszystko, co stworzone, dobywa i pnie się z nocy rozpaczę do chłodnej świeżości świtu i dalej, dalej do słońca w południu. Miejmy cierpliwość, idźmy każdy swą ścieżką, w oczekiwaniu Bożego słowa — póki go Bóg sam nie objawi. Bo Jego droga nie jest uciążliwą — niewysłowiona wśród niej jest radość, niewysłowiony spokój. Którzy wiernie czekają, Boga będą nagrodzeni poznaniem.

Kiedy kończył, dniało już naprawdę, choć słońce jeszcze nieweszło. Pierwsze ptaszki cyrkały w lesie, wodotrysk migotał i śpiewał — dolina leżała przed nami, jak czekająca na ukochanego oblubienica. Pod tym urokiem milczeliśmy — i prawie niewiedziałem, ile czasu minęło, zanim się zdecy-

dowałem prosić Viviana, aby naszą Biesiadę zakończył.



Są, którzy Viviana nazywają filozofem — ale określenie jest nietrafne. Ci, którym znane są jego pisma — a takich zbyt jest mało — wiedzą, że zajmował się, wprost lub pośrednio, filozoficznymi zagadnieniami. Nigdy atoli niepisał filozoficznie; metoda jego nie jest logiczną, sympatye ciągną go do nauk ścisłych i humanistycznych. W pierwszych czasach Grecyi mógł być być Empedoklesem lub Heraklitem; nie byłby nigdy mógł być Spinozą ani Kantem. Usiłował tłumaczyć życie, lecz nie samemi tylko umysłowemi określeniami. Aby myśleć, musiał wprzód czuć i widzieć. Wyrażał się stylem zbyt intelektualnym dla miłośników poezyi, zbyt przenośnym dla miłośników filozofii. Między publicznością więc miał zwolenników, jakkolwiek gorących, niewielu; my jednak, w naszej Biesiadzie, słuchaliśmy go zawsze z zajęciem, które pewien pierwiastek niepewności raczej wzmagał, niż zmniejszał. Mam trudność z oddaniem jego formy, w której on widocznie lubował się świadomie i artystycznie. Jeszcze trudniej dać czytelnikowi wrażenie jego chudej i delikatnie skonturowanej twarzy, oraz całej dystyn-

keyi jego osoby. Stojąc prosto i wyniosłe na tle bielejącego nieba, mówił, jak następuje:

— Człowiek jest w toku tworzenia się; lecz odtąd sam się musi dalej tworzyć. Do tego momentu doprowadziła go przyroda, która go z pierwotnego wywiodła mułu. Dała mu członki, dała mu mózg, dała mu zarodek duszy. Od niego teraz zależy zrobić lub zepsuć wspaniałą posąg. Niech się już nie ogląda na przyrody pomoc; bo ona tego tylko chce stworzyć, kto moc ma sam się stworzyć. Jeżeli jemu się nieuda, nieuda się i jej; metal wraca do pieca i cała procedura zaczyna się na nowo. Jeżeli mu się uda, powodzenie jest li tylko jego zasługą. Jego przeznaczenie w jego tylko jest ręką.

Tego przeznaczenia, gdyby tylko wiedział, mózg jest panem, mającym sporządzić pałac, godny zostać mieszkaniem duszy. Mimo to przecie, po wiekach prób nieudanych, rozum nie jest jeszcze niczem więcej, jak tylko kryjonym współnikiem nawyknienia i siły. Siła tworzy, nawyknienie ustala, a rozum, wygodniś, przystaje. I w ten sposób idzie na oślep, nie w górę, lecz w dół, zaś Przyroda śledzi rozbolala — niemogąc, z własnego zakazu, przyłożyć ręki, chyba do zniszczenia. Jeśli człowiek ma biedz naprzód, a biedz prosto, rozum musi ująć cugle — zaś sztuka jego kierownictwa, jest sztuką polityczną. Zadaniem tej sztuki jest do-

skonalenie; metodą, dobór. Wiedza jest jej kapłanem; etyka, panem. Nieoszczędza żadnego uprzedzenia, nie szanuje żadnego przywyku, nie czci żadnej tradycyi. Instytucye — to tylko słoma na ogień, który ona nieci. Przeszłość i terażniejszość rzuca bez skrupułu w paszczę przyszłości. Aniołem jest, dzierżącym miecz, skory do wygnania z Westminsteru ¹⁾ brzydkiej wiedzy, która tam siedzi na sakwach pieniędzy.

Albo powiem, że jestto Herkules, mający oczyścić Augiaszową stajnię, której każde miasto stanowi przedział, zawalony stuletnim gnojem; mający ubić hydrę, której wijące się stugłowie fałszywych wierzeń, wylęgłych z prawd starych, co się w łgarstwa rozgniły, rzuca się w niewyczerpane płodzenie wszelakich wyznań, interesów, instytucyi. Z tych pierwszą i naczelną jest własność, ze wszystkich najokropniejsza i najzupełniej oślepla, która nas pożera, nim o tem wiemy, pod maską Ubezpieczenia i Pokoju, mordując ciała jednych, dusze po największej części wszystkich, a odrastając z korzenia wiecznie rześka, w formach, które tylko się wydają nowemi — póki samego korzenia niewytnie miecz ducha. Jaką ten miecz będzie miał nazwę, socjalizmu, anarchii, czy jak chcecie, o to najmniejsza; byle ręka dzierżąca była silna, mózg jasny, dusza oświecona, namiętna

¹⁾ Z angielskiego parlamentu. (Przyp. tłum.)

i głęboka. Gdzież jednak znaleźć rycerza, zdolnego władać tą bronią?

Nieznajdzie się — trzeba go zrobić. Człowieka tylko człowiek posiewa. Niegdyś mógł ufać Przyrodzie, póki na jej leżał łonie. Lecz ona go od piersi odłączyła i człowiek niemoże ślepo zawieierać podszeptom, wierzyć w należyty skutek rad, którym ona już nieprzewodzi. Dopóki ona peła, ona też mogła nowe rośliny sadzić; dziś atoli już nie piele. Człowiek sam z własnej woli korczuje, lub pozostawia; i sam z własnej woli musi siać, jeśli niechce, by jego ogród zdziczał. Nawet teraz cenne rośliny giną w jego oczach, nawet teraz zielsko do stęchłości wybuja, podczas kiedy on z próżniaczem patrzy zdumieniem i baję o swej bezsilności. Dał cugle Żądzy — i ona go wpędza napowrót do przepaści. Lecz wprzódz ją do wozu, z rozumem jako woźnicą, a wyrosną jej skrzydła, które go do celu jego przeznaczeń poniosą. To w nim, co on zwie Miłością, jest tylko smokiem mułu. Niech to pogrzebie w grobie Samosobu, a wstanie Psyche — o skrzydłach zawielkich, by tylko domowiznę miały osłaniać. Człowiek przyszłości zjawia się na wołanie człowieka aktualnego. Tenże więc niech woła — trzeźwo, nie z wyziewów pijanej chuci. Bo jakie zawołanie, taka odpowiedź.

Lecz kogo ma wołać? Poganina? Chrześcijanina? Żadnego — i obudwu. Poganizm przemawia

za ludzkością w człowieku, chrystyanizm za człowiekiem w ludzkości. Owoc, spożyty w Raju, posiany w duszy człowieka, wydał w Helladzie swe pierwsze i najpiękniejsze żniwo. Nad światem myśli wstało wtedy troiste słońce Ideалу. Afrodyta, z piany urodzona, rozkwitła na błękitnem rozwoźdzu, Trytony miała w orszaku i Nereidy, w dnia płonącym brzasku. Apollin, promieniejący srebrzystą rosą, wyłonił się ze wschodniej fali, żarem przeleciał niebiosa i pobiegł chłodzić swe koła syczące w oparach zachodu. Atene, skoczywszy na jaw z mózgu Boga, zbrojna włócznią prawdy, przechodziła siwo-oka po ziemi, badając ludzi umysły. Kochanie, Piękno, Mądrość — oto pogańska trójca! Za jej tylko łaską ludzkość jest ludzkością, zdolną zostać Człowiekiem. Dla tego to wieczni są bogowie; nie oni umierają, jeno my, gdy nam się widzi, że ich już niema. Nikt, kto ich niezna, a znając, nieczci i niekocha, nie może być członkiem ciała Człowieka. I tem się dzieje, że spojrzenie wstecz jest znakiem kroku naprzód; zaś Grecya stoi wiekuiście w progach nowego życia. Niemiec jej w pamięci, to znaczy odpaść — wrócić i stać się znów, jeśli nie bydlęciem, to owadem. Patrzcie na mrówkę i strzeżcie się! Ona wam jest przestrożą. We wszechmrówstwie, mrówek niema. Od takiego losu oby ludzi ochronił Człowiek!

Lecz bogowie pogańscy byli bezlitośni; znęcali

się nad słabymi. Ich mądrość miała korzenie w głupocie, ich piękność w brudzie, ich miłość w ciemności. W ten sposób hodowane, kwiaty zmarniały. I z mierzwięcej gleby wstały dziwne pączki nowe, które zwiemy Wiarą i Nadzieją i Miłością¹⁾. Bo Głupota zawołała: »Niewiem, ale wierzę!« Brud: »Jestem plugawy, ale ufam!« A ciemny: »Jestem wzgardzony, lecz miłuję!« To była Trójca chrześcijańska, echo człowieczych niepowodzeń, jak tamta była echem jego zwycięstwa. Przecież, obydwie mu potrzebne. Bo dla tego, że rośnie, prześladuje go ułomność. Z jego słabości śmieją się i szydzą one świetlane formy u góry szczytu. Lecz Wiara i Nadzieja i Miłość idą obok niego w błocie, by go pobudzać, zachęcać, pocieszać i wspierać. Z nich rodzi się sprawiedliwość—głos Wielu przeciw Kilku, narodu przeciw klasie, ludzkości przeciw narodowi, przyszłości przeciw teraźniejszości. W chrześcijaństwie, ludzkość narodziła się Człowiekiem. Niechże atoli ludzkość w Nim niezamrze! Bo na cóż się zda sprawiedliwość, jeśli nie jest podnóżkiem tronu na Olimpie? Na co Wiara i Nadzieja bez końcowego celu? Miłość bez przedmiotu? Próżną jest miłość mrówek, pszczół i koralowych owadów. Bo wartość miłości mierzy

¹⁾ W oryginale tutaj *Charity*, gdy w pogaństwie było *Love*. Stąd zdało mi się słusznie spolszczyć to ostatnie na »Kochanie«, zostawiając »Miłość« chrześcijaństwu. (Przyp. tłum.)

się wartością miłującego. Tylko z gleby poganizmu może chrześcijaństwo dojrzewać. A Wiara, Nadzieja, Miłość, same z siebie, to tylko ziarna — póki niepadną w łono Mądrości, Piękna i Kochania. Olimp, śnieżno-szczytna góra, wznosi się przed nami. Idźmy na nią razem, jeśli wola, nie jeno z nas niektórzy po trupach reszty; lecz bądź co bądź idźmy, nierójkmy się i niegnijmy na tłustych łąkach równości. My nie dla dolin jesteśmy, ani dla borów czy pastwisk. Jeżeliśmy braćmi, przecież jesteśmy współbraćmi w szukaniu, z potrzebą, by nam przewodził najpierwszy. Afrodyta, Apollin Atene przed nami są, nie poza nami. Postacie majestatyczne, promienieją wśród śniegów. Naprzód więc, ludzkości w Człowieku!

Czyż jednak ludzie to są, którzy dochodzą? Czy Człowiek? Lub może nawet nie On, a sam Bóg? Niewiemy. Jesteśmy tylko świadomi pohopu i głosu. Blask na śniegach, ścieżka pod górę, nagłące parcie wewnętrzne — to nasza pewność; reszta jest wątpieniem. Ale wątpienie jest nieboskłonem, a na nim płonie gwiazda nadziei. Nadzieją żyjemy — i zaślepia wiedza, kaleczy poświęcenie, któreby nam te srebrzyste chciały zasłonić promienie. Oczy nasze muszą wśród drogi otwierać się na każdy znak z wyżyny. A skoro dusza ma w samej rzeczy >nieśmiertelne w sobie utęsknienia«, możemy być pewni, iż jej utęsknienia przepowiadają spełnienie. Przecież jej roszczenia są tak dostojne, jak ro-

szczenia człowieka i na tego samego powołują się świadka. Świadkiem obudwu jest marzenie, lecz marzenia takie przychodzą z bram najwyższych. Są życia pierwiastkami, dokoła nich krystalizuje się wszechświat. Bo wola jest więcej, niż wiedza, skoro wola tworzy, co wiedza zapisuje. Wiedza zawisa w próżni nieświadomości — planeta, wirująca w ciemni. Lecz poprzez tę próżnię Wiara rzuca drogę, która do Olimpu wiedzie i do wiekuistych Bóstw.

* * *

Słońce już weszło, zroze blasku przelewało się w światłość zwykłego dnia. Głośno śpiewały ptaszki, błyskotnie pienił się i mienił wodotrysk, drzewa cicho szemrały w porannym powiewie. Towarzystwo nasze spokojnie się rozeszło. Jedni poszli spać, drudzy na przechadzkę do ogrodu. Audubon wyszedł kąpać się, jak się był z moim bratankiem umówił — na pozór wesół i zadowolony zupełnie. Zostawszy sam, chodziłem po terasie, patrząc, jak dzień stawał się coraz jaśniejszym, i dziwiąc się nad różnaitością człowieka losów. Wczesne dzwony rozebrzmiały z kościółka za parkiem; bek jakiegoś samochodu zaleciał z gościńca. Myślałem o Cantilupie i Haringtonie, o Allisonie i Wilsonie — a dalej poza nimi o jawie świtania i brzasku, o duszy-Woodmanie i duchu-Vivianie. Raz jeszcze

zatrzymałem wzrok na rzędzie jasnych posągów, które stały wzdłuż alei podemną. Wyobrażałem je sobie sięgające w dal aż do podnóża Olimpu — i nieroznamiętniony, spokojny upewnioną ufnością, gotowałem się do podjęcia codziennych zatrudnień.



24-

47019/19007

gów.
an je
s -
sion.
nied.

K